NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok V. Kraków, 25 stycznia 1908. Nr. 4

Uprowadzenie bandytki. (Treść na str. 2).



Uprowadzenie bandytki.

(Do illustracyi tytułowej.)

Jak śmiałych, jak zuchwałych wprost czynów dopuszczają się bandyci w zaborze rosyjskim, dowodzi zaszły niedawno wypadek w szpitalu dla umysłowo chorych w Tworkach, pod Warszawą. W szpitalu tym umieszczoną była od kilku tygodni na obserwacyi 16 letnia dziewczyna, Kazimiera Ostrowska, oskarżona o współudział w napadzie bandyckim na sklep kolonialny Kowalskiego w Warszawie. Napad ten miał miejsce jeszcze w listopadzie 1906 r., a dopiero na wiosnę 1907 r. Ostrowską oraz innych uczestników napadu uwięziono. Ponieważ zaś Ostrowska nie ma jeszcze 17 lat, przeto w myśl odnośnych przepisów, oddano ją pod obserwacyę psychiatryczną. W szpitalu zachowywała się młoda bandytka nadzwyczaj spokojnie.

Przed kilkunastu dniami została ona ze szpitala w Tworkach uprowadzoną, a pisma warszawskie opisują w ten sposób niezwykły wypadek. Kiedy po zwyczajnych, wieczornych wizytach lekarskich, zapanowała w zakładzie cisza i kiedy cele pozamykano, wtargnęło do wnętrza 15 uzbrojonych bandytów, przeważnie zamaskowanych, lub z przyprawionymi nosami i zarostami, z których pięciu otoczyło pawilon II-iej klasy, pięciu stało na straży u bramy a pięciu weszło na korytarz. Tu zapytali dozorczynię o pacyentkę Ostrowską, a gdy ta, nie znając jej z nazwiska, nie umiała dać odpowiedzi, wbiegli na I piętro i głośno jęli wołać o Ostrowską. Wówczas ta odezwała się, bandyci zaś wysadzili drzwi jej celi, zabrali swą towarzyszkę i wyszli, zakazawszy służbie wszelkiego alarmu. Steroryzowany personal szpitala zawiadomił władze dopiero o 9-ej godzinie o zajściu, kiedy z bandytów i śladu nie było.



Smierć księcia Toskańskiego: Ferdynand IV., wielki książe Toskański.

Śmierć księcia Toskańskiego.

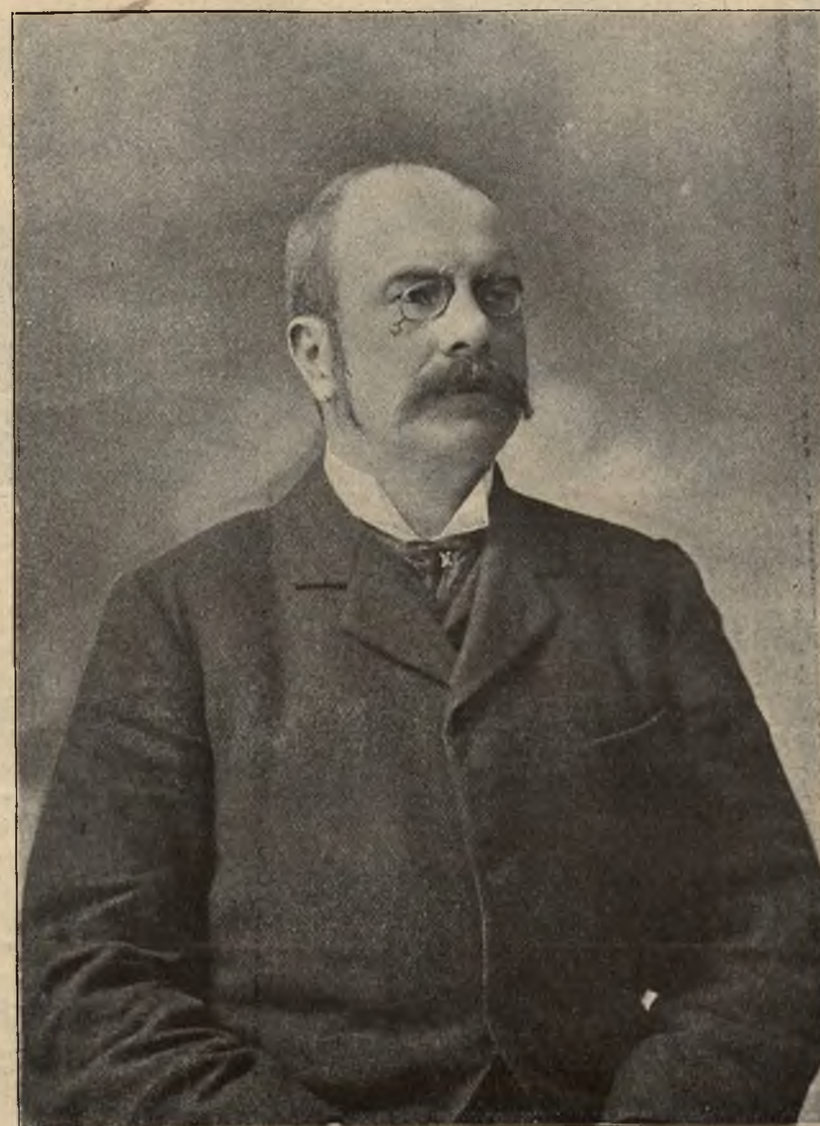
Po kilkumiesięcznej chorobie, przybity nieszczęściami domowemi, zmarł przed kilku dniami na zamku swoim w Salzburgu, Fordynand IV, wielki książe toskański. Urodził się 1835 r., jako najstarszy syn panującego księcia Leopolda II. Rządów jednak po ojcu nie objął, z powodu bowiem wybuchu rewolucyi włoskiej, a następnie zjednoczenia wszystkich państw półwyspu apenińskiego, dynastya habsbursko-lotaryńska została złożoną z tronu a Toskana przyłączoną do królestwa sardyńskiego. Z tego powodu też ks. Leopold wraz z całą rodziną przeniósł się do Austryi, przelewając swe prawa do tronu na pierworodnego syna Ferdynanda.

Prócz tych nieszczęść natury politycznej, gnębiły ks. Ferdynanda troski rodzinne, z licznego bowiem jego potomstwa, dwoje dzieci, ks. Ludwika saska, późniejsza hr. Montignoso, a obecna pani Toselli, oraz syn Leopold Wölfling, swoimi skandalicznymi romansami sprawili sędziwemu ojcu niemało wstydu i zmartwień. Także przedwczesna śmierć jego pierwszej małżonki Anny, księżniczki saskiej, była dla ks. Ferdynanda ciosem bardzo bolesnym.

Od trosk tych i kłopotów uwolniła go dopiero śmierć.

Burzliwe powitanie bana.

Nadzieje, jakie rząd węgierski przywiązywał do osoby mianowanego przed pół rokiem bana Chorwacyi Rakodczaya, zawiodły w zupełności, ban ten bowiem nie tylko nie znalazł sympatyi i zaufania u ogółu ludności chorwackiej, ale i ogromna większość sejmu stanęła w opozycyi. Stracił on też wszelką wartość dla rządu węgierskiego, który wobec nadchodzących wyborów do sejmu chorwackiego pragnie mieć na kierującem stanowisku w tym kraju osobistość, posiadającą zaufanie znacznej części ludności — i musiał się podać do dymisyi.



Burzliwe powitanie bana: Dr. Paweł br. Rauch.

Odpowiednim na jego następcę wydał się rządowi węgierskiemu bar. Paweł Rauch, syn Lewina Raucha, pierwszego bana po zawarciu ugody chorwacko-węgierskiej z 1868 r. Br. Rauch jest wodzem „unionistów“ w Chorwacyi, którzy wprawdzie stoją na zasadach ugody z 1868 r., ale domagają się znacznego rozszerzenia autonomii i ściślejszego niż dotąd wykonywania innych punktów ugody i z tego powodu tworzyli partyę opozycyjną. Nadto bar. Rauch, jako poseł od wielu lat i mający po swej stronie także pewien zastęp zwolenników wśród arystokracyi, także i z tych względów wydawał się odpowiednim kandydatem na to trudne stanowisko. To też po krótkich pertraktacych nominacya jego stała się faktem dokonanym.

Pierwsze jednak chwile pobytu bar. Raucha w charakterze bana na ziemi chorwackiej, smutną zdają się być zapowiedzią dla nadziei węgierskiego rządu. Ludność Zagrzebia urządziła bowiem w dniu przybycia nowego bana hałaśliwą demonstracyę, zwróconą przeciw jego osobie.

Rozpoczęły się demonstracye na dworcu, gdzie zebrały się tłumy ludności. W chwili gdy ban w towarzystwie szefów sekcyjnych udał się do poczekalni, powstał ze wszystkich stron ścisk, przyczem rozległy się okrzyki „precz z banem“. Wśród takich awantur ban i towarzyszący mu urzędnicy opuścili dworzec i udali się na plac, tam jednak demonstracye przybrały jeszcze większe i jeszcze groźniejsze rozmiary. Doszło do tego, że za powozami wiozącymi dygnitarzy, rzucano kamieniami, a jeden z urzędników został w głowę zraniony. Demonstranci towarzyszyli banowi aż do jego mieszkania, inni zaś udali się za wicebanem Czernkowiczem i w mieszkaniu jego powybijali szyby. Demonstrowano również przed domem nadżupana.



Fot. Rechnitzer, Zagrzeb.

Burzliwe powitanie bana: Dziennikarze interwiewujący nowego bana (X) przed dworcem w chwili najostrzejszych demonstracyj.

Wskutek tych burzliwych zajść przyszło w kilku miejscach do krwawych starć z policyą, która parokrotnie dobywała szabel i atakowała tłumy. Bar. Rauch na razie nie wiele sobie robi z tych hałaśliwych objawów niechęci, jest bowiem zdania,



Fot. Rechnitzer, Zagrzeb.

Burzliwe powitanie bana: Tłumy publiczności, demonstrujące na dworcu, w chwili przybycia nowego bana, bar. Raucha (X).

że demonstracye te zaaranżowała niedoświadczona młodzież, że jednak rozważni politycy, po zapoznaniu się z jego programem, poprą jego dążności i umożliwią mu rządy w kraju.

Zacna filantropka.

W dniu 18 b. m. zmarła w Warszawie wielka i zacna filantropka, Julia z Czabanów Wiemanowa. Ubodzy tracą w niej najszlachetniejszą opiekunkę i dobrodziejkę, gdyż śp. Wiemanowa rozdawała rocznie 24.000 rubli między biednych. Podobnie jak jej nieboszczyk brat, śp. Czaban, który przeznaczył przeszło 200.000 rubli na różne legaty, a między innemi i na Akademię umiejętności w Krakowie, tak i śp. Wiemanowa krociowy swój majątek zapisała na różne cele dobroczynne i instytucye naukowe. Zmarła przeżywszy lat 76.

Cześć pamięci zacnej matrony!



Zacna filantropka: Śp. Julia z Czabanów Wiemanowa.

Uwięzienie prelegenta.

(Do illustracyj na stronie 10).

W tych dniach w jednej z publicznych sal Warszawy miał odczyt o Grottgerze znany w szerokich kołach polskiej inteligencyi artysta-malarz, literat i autor dramatyczny, p. Tadeusz Jaroszyński. Nazajutrz p. Jaroszyńskiego aresztowano i osadzono w więzieniu przy Ratuszu, gdzie mu oświadczono, iż za to, że nie uzyskał na wygłoszenie odczytu odpowiednich pozwoleń policyi — skazany zostaje w drodze administracyjnej na 2 tygodnie więzienia. P. Jaroszyński już rozpoczął odsiadywać wyrok.

Ujęcie sprytnego defraudanta.

(Do illustracyi na str. 9).

Przed paru tygodniami dużego rozgłosu nabrała w Warszawie sprawa wykrycia w poważnej firmie „Skład materyałów aptecznych i chemikalii tow. akcyjnego Ludwik Spiess i Syn" wielkich nadużyć; sprawa ta była tem sensacyjniejszą, że defraudant, a dyrektor powyższej firmy, Piotr Krzyżanowski, żył na szeroką stopę i z tego powodu znany był w szerokich kołach miasta. Sprawa ta jednak, ze względu na ucieczkę smutnego bohatera, przycichła chwilowo. Dopiero w ostatnich dniach gruchnęła wieść, że Krzyżanowskiego uwięziono. Szczegóły całego tego nadużycia komentowane są obecnie dlatego jeszcze tak żywo, że do sprawy, jak ujawniło śledztwo pierwiastkowe, wmieszanych jest wiele znanych i poważnych w Warszawie firm aptekarskich i składów aptecznych, które, jak się okazuje, nabywały od Krzyżanowskiego kradzione towary, oczywiście po znacznie niższej cenie. W toku śledztwa w firmach tych dokonano rewizyi ksiąg, które właśnie ujawniły powyższe szczegóły.

Ale powróćmy jeszcze do okoliczności. towarzyszących ciekawej tej aferze. Otóż w firmie wyżej wspomnianej pracował od paru lat Piotr Krzyżanowski w charakterze dyrektora i generalnego pełnomocnika na Królestwo. Przed miesiącem, kiedy znajdował się w podróży, wykryto malwersacye i zwrócono się o pomoc do wydziału śledczego. Rozesłano za nim listy gończe, na ślad jego jednak nie natrafiono, gdyż ostrzeżony widocznie przez wymieniony okólnik, ukrył się. Poszukiwania trwały trzy tygodnie. Dopiero w tych dniach, gdy odpowiednio ucharakteryzowany, przybył do Warszawy potajemnie, agenci zauważyli go i zaczęli śledzić, a wreszcie w pewnem mieszkaniu prywatnem, gdzie ukrywał się, zarządzono rewizyę i aresztowano go. Znaleziono przy nim niewielką sumę pieniędzy. K. przyznał się do winy, nie chce jednak wymienić nazwisk firm, do których kradziony towar dostarczał, dochodzenie jednak śledcze zapowiada w tej sprawie niezwykle ciekawe i sensacyjne odkrycia z za kulis warszawskiego światka handlowo-tombakowego.



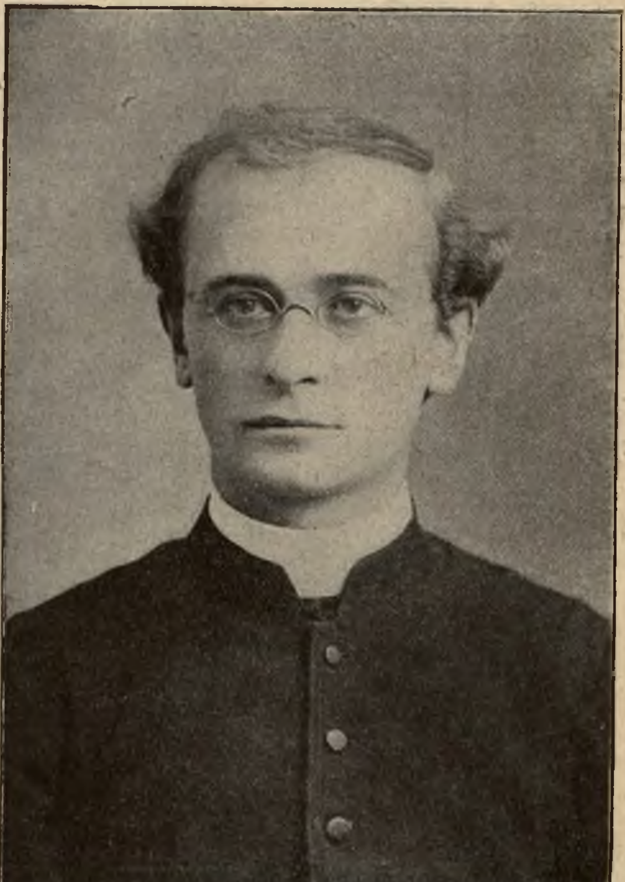
Fot. Rechnitzer, Zagrzeb.

Burzliwe powitanie bana: Nowy ban chorwacki, baron Rauch (X), w towarzystwie wicebana Czernkowicza (XX) i urzędników, po wyjściu z dworca.

Powrót kapłana-patryoty.

Oderwany od pracy kapłańskiej i społecznej przez skazanie na wyjazd za granicę na cały czas trwania stanu wojennego, ks. Jan Gralewski, otrzymał pozwolenie na powrót do Warsrawy.

Wiadomość ta ozwie się radosnem echem w Warszawie, gdzie ks. Gralewski cieszy się ogromną popularnością i sympatyą, z powodu zasług, jakie po-



Powrót kapłana-patryoty: Ks. Jan Gralewski.

łożył we wszystkich dziedzinach życia społecznego, a zwłaszcza szkolnictwa polskiego. Nie mniej i na polu pracy kościelnej zdziałał wiele, zwłaszcza swemi konferencyami dla inteligencyi, które cieszyły się uznaniem wszystkich sfer społeczeństwa warszawskiego. Jako poseł do pierwszej Dumy, zajmował się głównie sprawami pedagogicznemi. Po kilku miesiącach, przebytych poza rodzinnemi stronami, powraca ks. Gralewski ze zdwojoną energią do pracy, by powetować czas przymusowych wakacyi.

Straszna katastrofa na ślizgawce.

Przerażające, pełne grozy szczegóły nadeszły przed kilku dniami z Paryża, gdzie w lasku Bulońskim na wielkim stawie, pokrytym wyjątkowo lodem i zamienionym na tor łyżwiarski, wydarzyła się straszna katastrofa. Ślizgawka odbywać się tam może tylko wyjątkowo, bo rzadko mróz jest tak silnym, iż lód dochodzi grubości 10 cm. A kiedy to się zdarzy, wówczas staw roi się od Paryżan, żądnych miłego sportu zimowego. Tak było i w ubiegłym tygodniu w niedzielę. ponieważ zaś w dniu tym właśnie nastąpiła odwilż, przeto policya musiała z wytężeniem przestrzegać porządku i czuwać, by stosowano się do rozporządzeń, w szczególności, by nie przekraczano odgraniczonych terenów.

Mimo tej opieki policyjnej zabawa toczyła się wesoło, humor prawdziwie paryski nie opuszczał licznych zwolenników ślizgawki, nikt też nie liczył się z tem, iż lód topniał coraz bardziej i że coraz większe groziło niebezpieczeństwo.

Około 5-ej popołudniu jeden ze ślizgających się przesunął się poza słupek, wskazujący słabsze miejsca, a potknąwszy się, wpadł w wodę przez załamaną powierzchnię lodu. Wypadek zauważono w pobliżu, a trzydziestu łyżwiarzy, ślizgających się opodal, pospieszyło nieszczęśliwemu na ratunek, wołając równocześnie o pomoc. Ale słaby lód, nie mogąc wytrzymać ciężaru tylu ludzi, załamał się, i wszyscy wpadli do lodowo zimnej wody.

Nastała chwila przerażenia. Zewsząd odzywały się głośne krzyki, trwało jednak dłuższą chwilę, zanim zorganizowano akcyę ratunkową. Chociaż kilku łyżwiarzy umiało pływać, mróz i pływające kawałki lodu utrudniały im ratunek. Woda w tem miejscu miała przeszło dwa metry głębokości. Na pomoc pospieszyła policya i służba ślizgawki. Dzięki też jej usiłowaniom wyciągnięto z wody 25 osób, które przeniesiono szybko do sąsiednich zabudowań, aby je ogrzać i przyprowadzić do przytomności. Ponieważ na miejscu katastrofy było 30 ludzi, więc sądzono, że w wodzie znajduje się jeszcze kilka ofiar. W tym celu zawezwano nurków, aby przeszukali staw, nadto zaś lód też bito i staw cały spuszczono. — Istotnie też po bardzo uciążliwych poszukiwaniach udało się wydobyć z zimnej topieli martwe, skostniałe zwłoki trzech młodych ludzi.

Straszny ten wypadek w lasku Bulońskim powinien być przestrogą dla nierozważnych, a zapalonych miłośników sportu łyżwiarskiego.



Straszna katastrofa na ślizgawce: Publiczność ratująca tonących łyżwiarzy.



Straszna katastrofa na ślizgawce: Akcya ratunkowa w chwilę po wypadku.



Straszna katastrofa na ślizgawce: Przeszukiwanie stawu w lasku Bulońskim w dzień po katastrofie.

Kobieta-dorożkarz.

Od pierwszej chwili rzucenia hasła równouprawnienia kobiet, cała męska połowa świata podzieliła się na dwa wrogie obozy: zwolenników równouprawnienia i stanowczych jego przeciwników Ta druga grupa jest i liczniejsza i energiczniejsza, występuje bowiem w obronie własnego bytu. Walczą te obozy z sobą, spierają się przez długi czas bezskutecznie, a nikt nie chce ustępować z zajmowanego posterunku.

W bardzo prosty i pojedynczy sposób rozwiązała zawiły problem emancypacyi kobiet pewna Berlinka, dowodząc równocześnie, że jądro tej kwestyi powinno leżeć i leży — jak zwykle — pośrodku, że tedy kobieta zamężna powinna w miarę sił i zdolności imać się zawodu, w którym pracuje jej mąż. W ten sposób nietylko będzie pomnażać zysk materyalny, ale będzie istotną pomocą mężowi. Mąż tej damy jest dorożkarzem, spełnia jednak swe obowiązki tylko nocą, żona zaś jego zdała obecnie egzamin na woźnicę miejskiego i powozi dorożką w dzień. W ten sposób małżonkowie są dla siebie istotną pomocą, wzajemnie pracę swą uzupełniają i żyją zgodnie w myśl przykazania miłości małżeńskiej, co im tem łatwiej przychodzi uskutecznić, iż przeważnie są zdala od siebie.



Kobieta-dorożkarz; Żona dorożkarza berlińskiego na stanowisku.

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

8

— Bieda, nędza, głód, a to są źli doradcy... jeszcze pójdzie na złą drogę... nie, na to nie pozwala mu jego sumienie.

Tak, uwolni ją od kary... zostanie nadal manipulantką. Już się zdecydował, gdy przyszła mu myśl, iż skoro ona utrzyma się na posadzie, będzie romansowała z Wapieńskim, a taki romans jest wysoce niemoralny i ubliża godności urzędników dyrekcyi... Trzeba tedy wydalić, westchnął głęboko, wpierw jednak zobaczy ją, może po raz ostatni. Zadzwonił i kazał woźnemu poprosić pannę Trawecką.

Szła pobladła, zmęczona, siląc się na spokój. Była przekonaną, że inspektor wypowie jej miejsce, a przyszłość przedstawiała się jej w czarnych barwach. Zmartwienie i gniew matki, brak środków do życia, poszukiwanie pracy, namowa matki, aby wyszła za Łukę... wszystko to stanęło jej żywo przed oczyma.

Inspektor, gdy zobaczył ją pobladłą, z podkrążonemi oczyma, błyszczącemi gorączkowo, poczuł wielkie współczucie, gdyż wydała mu się piękniejszą, aniżeli poprzednio.

— Proszę, siadaj pani — podsunął jej krzesło — chciałem jeszcze raz rozmówić się z panią i wierząc w jej szczerość, spodziewam się szczerych odpowiedzi... Czy zależy pani dużo na posadzie manipulantki?

— Bardzo... pensya, którą pobieram, jest nietylko mnie potrzebna, ale stanowi główny dochód mej matki i rodzeństwa.

— Ile rodzeństwa?

— Dwie siostry i brat.

— Otóż widzi pani — mówił zapalając papierosa — pragnąłbym szczerze, aby pani nie straciła posady, lecz pani musi mi w tem dopomódz, dobrze?

— Bardzo chętnie — zarumieniła się z uczucia radości.

— Panią, jako młodą, niedoświadczoną, obałamucono — uśmiechnął się życzliwie — i przejęła się pani hasłami socyalistycznemi, które nigdy się nie spełnią. Ufam pani, że skoro mi pani przyrzecze, dotrzyma pani napewno. Czy tak?

— Naturalnie.

— Więc zerwij pani z przewrotnemi zasadami socyalizmu i... z jego wyznawcami... Jeśli pani mi to przyrzeknie, wstawię się za panią u pana dyrektora i mam nadzieję, że nie straci pani posady.

Pierwszą myślą Janiny było stanowcze odrzucenie zrobionej propozycyi. Ona miałaby się wyrzec swych zasad dla kawałka chleba, nie, nigdy... Ale co będzie, jak straci miejsce? Głód, nędza, upokorzenia... a gdyby zgodzić się pozornie? — szeptało uczucie samozachowawcze. Bez miejsca, bez pensyi, nie będzie mogła pracować dla socyalizmu, gdyż zgnębi ją niedostatek. I czy nie jest jej obowiązkiem wywdzięczyć się matce za jej starania? A co zrobi jej rodzeństwo? Przecież to tak mało kosztuje powiedzieć słowo jedno. Już otwierała usta i znów się zawahała, wreszcie spytała cicho:

— Czy to konieczne panie inspektorze?

— Warunek nieodzowny — rzekł twardo, przypisywał bowiem jej wahanie miłości ku Wapieńskiemu.

Janina milczała. Milsze ci przecież życie twoje i twoich od socyalizmu, szeptało w niej coś, zresztą w głębi duszy nie zmienisz się, więc wyrzeknij się. Już miała powiedzieć, lecz jakiś dziwny, nieprzeparty wstyd zdławił słowa. Za kawałek chleba zaprzesz się siebie, swych zasad i czy może być lepiej na świecie, czy spełnią się żądania socyalistów, gdy wszyscy wyrzekną się zasad swych dla chleba!? Poprawiła się na krześle i rzekła zaczerwieniona:

— Pan inspektor żąda niemożliwości. Straciłabym szacunek dla siebie samej, gdyż sprzedałabym siebie za posadę, a przecież tego nikt nie może żądać odemnie.

Znów ognie uderzyły na przybladłą jej twarz, co niemal zachwyciło inspektora i w duchu zgodził się, przynajmniej na razie, na jej zasady, ale ten Wapieński!? — zmarszczywszy więc brwi powiedział:

— Chciałem pomódz pani, lecz pani sama odtrąca rękę pomocną... zatem nie?

— Nie mogę — rzekła z wysiłkiem.

— Kiedy nie, to nie — powiedział gniewnie — i skinął głową na znak pożegnania.

VIII.

Janina przyszedłszy do domu po ostatniem przesłuchaniu u inspektora, nie miała już żadnej wątpliwości, że posadę utraci. Cicha i zgnębiona przywitała się z matką, poszła w milczeniu do kuchni, aby zjeść obiad. Nabrała na talerz postnego barszczu i jadła w gorzkiem rozmyślaniu, że wkrótce zabraknie nawet takiego posiłku.

— Janinko, czy wzięłaś kartofli do barszczu? — spytała matka z pokoju.

— Nie wiedziałam, że są... biorę mamo.

— A makaran z powidłami jest w piecyku.

— Dziękuję mamie.

W czasie tego skromnego obiadu namyślała się, czy ma powiedzieć matce o możliwem utraceniu posady teraz, czy też po spełnionym fakcie. Matka prędzej czy później musi się dowiedzieć. Gdy nagle uwiadomi ją o swem uwolnieniu, będzie to piorunem z jasnego nieba. Może lepiej będzie przygotować ją zwolna, stopniowo. Wprawdzie nie czuła się na siłach do cierpliwego zniesienia narzekań, wymówek, żalów matki, ale lepiej wcześniej, niż później.

— Cóżeś taka chmurna? — spytała matka, gdy Janina usiadła obok niej na krześle.

— Mam złe wiadomości...

— Czy urzędowe? — zawołała zaniepokojona — bo widzę po tobie, że cię bardzo dotknęło.

— Tak mamo.

— Nie marudź i mów.

— Przypomina sobie mama nasze zgromadzenie w sprawie kasy.

— Wiem... wiem, cóż dalej.

— Dyrekcya kolejowa wzięła nam to za złe..

— Widzisz ją — oburzyła się matka — a cóż to nowego? Nie wolno nam zakładać kasy kolejarskiej, czy my niewolnicy!?

— Zaczęły się dochodzenia, protokóły, badania... Ja należałam i jeszcze jedna manipulantka... otóż dziś byłam znów przesłuchiwana... zagrożono mi dymisyą.

— A to niesłychane rzeczy! Tobie dymisyę, a z czegóż będziemy żyć!? Nie, to niemożliwe, pójdę sama do nich, do dyrektora, będę prosiła, błagała — mówiła po przez łzy — toż poginiemy z głodu, jeśli utracisz posadę — i rozpłakała się.

— Niechże mama się uspokoi — całowała jej spracowane ręce — zarobię przecież, nie tu, to gdzieindziej.

— A może to tylko groźby, Janinko... Opowiedz mi... może jeszcze znajdzie się ratunek.

Janina pod pierwszem wrażeniem żalu zaczęła mówić:

— Inspektor żądał dzisiaj odemnie... — lecz spojrzawszy na matkę uczuła, że ona jej nie zrozumie, a chcąc zyskać na czasie — otóż żądał... kiedy mi trudno powiedzieć...

— Żądał, abyś była jego kochanką — zawołała matka gwałtownie — a łajdak... znam ja ich dobrze... pójdę do dyrektora.

Janina zeczerwieniona rzekła porywczo:

— Jak mama może nawet przypuszczać, ażeby mi on lub ktokolwiek zrobił podobną propozycyę!? Nie mamo, to niemożliwe.

— Więc czego żądał?

— Ażebym się wyparła tego, że brałam udział w zapoczątkowaniu kasy, w zwołaniu zgromadzenia... i przyrzekła, że coś podobnego już się nie powtórzy.

Zdawało się Janinie, że matka zrozumie i odczuje, iż ona nie mogła skłamać, lecz matka otarłszy łzy, spojrzała w jej oczy surowo i hamując swój gniew:

— Żądał takiej drobnostki — zawołała — i ty śmiałaś odmówić!? Ty!?

— Ależ mamo, nie mogłam przecież kłamać... setki ludzi mnie widziało i słyszało, co oni pomyśleliby o mnie?

— Czy ich głupia opinia da ci kawałek chleba — rzekła drwiąco — i powiadam ci, jeśli chcesz, ażebym żyła, ażebym cię nie wyklęła, to jutro pójdziesz do inspektora, przeprosisz go i zrobisz czego żąda. Od tego nie odstąpię, rozumiesz?

— Mamo, to niemożliwe... raz powiedziałam i już przepadło.

— Głupia jesteś — krzyknęła z gniewem — zrobisz co każę, a nie, to ja pójdę z tobą i wytłómaczę mu wszystko.

— To na nic mamo... Sam inspektor mi mówił, że już zapadła klamka... pewno był już u dyrektora.

— To nic nie znaczy, pójdę i do dyrektora, tu przecież idzie o nasze życie... nie mogę pozwolić na twoje fantazye.

— Ostatecznie mamo, to jeszcze nic pewnego... inspektor mówił, że może stracę moją posadę, a bardzo być może, że dyrektor naznaczy mi tylko karę pieniężną.

— Widzisz ją, jaka mi tu pani — powiedziała matka z przekąsem — ani grosza nie zapłacę! Rozumiesz, ani grosza. Sama pójdę i ty musisz zrobić, co każę — kończyła twardym głosem.

— Jeśli mama pójdzie, ja przestaję chodzić do biura — powiedziała zaczerwieniona.

— Tak? Otóż doczekałam się pociechy — rozpłakała się na dobre — to na to cię karmiłam, wychowałam... Jeśli już nad sobą nie masz litości, to ulituj się matki i dzieci. Chcesz, padnę ci do nóg — poruszyła się na krześle.

— Ależ mamo! co mama robi!? Przecież nie otrzymałam jeszcze dymisyi... nas było przeszło sto pięćdziesiąt kolejarzy... wszystkim nie dadzą dymisyi... Ot grożą, straszą, aby na drugi raz nie chcieli się gromadzić.

— Więc dlaczego mnie tak przerażasz — płakała cichemi łzami — wiesz, ile mam zmartwień, a ty mi dodajesz! Nie masz litości nademną!

— Chciałam zwierzyć się mamie z mego niepokoju — tłómaczyła się — komuż mam powiedzieć?

— Ach, gdybyś ty już raz zamąż wyszła, skończyłoby się z tą utrapioną koleją.

— Jakoś to się ułoży mamo, czy świat kończy się na kolei? Mogę być kasyerką, w sklepie...

— I dużo zarobisz?... Może piętnaście, może dwadzieścia koron i czy wyżyjemy z tego?

— Poradzimy sobie mamo — uśmiechnęła się.

— Łatwo ci mówić, ale ja mam was czworo na głowie — westchnęła.

W tem zapukano w drzwi kuchenne i wtoczył się Łuka ze słowami:

— Moje uszanowanie pani Karolowej — skłonił się i oczyma szukał krzesła, które mu gospodyni szybko podsunęła, a on siadając mówił dalej: Zaszedłem, aby się upewnić, że pani z córeczką będzie na weselu Rózi.

— Ależ będziemy — zawołała — właśnie rozmawialiśmy o sukni.

— E, co tam suknia — wzruszył ramionami, wyjął kraciastą chustkę, a ocierając pot z grubego karku — ładnemu we wszystkiem ładnie, a panna Janina jak malowanie — i mimowolnie mlasnął wargami.

— Pan Łuka zawsze łaskaw i grzeczny — rzekła matka — pewno przed ślubem i weselem ma pan dużo kłopotu.

— O, tego nigdy nie zabraknie — zapalał cygaro — ale ja inaczej się urządziłem. Dałem Rózi na rękę gotówkę, rób, szyj, kupuj sama, ja przecież nie będę w twojej bieliźnie i sukniach chodził — śmiał się głośno.

— To się wie — zaśmiała się i gospodyni — Rózia wie najlepiej, czego jej trzeba.

— A ja pilnuję interesu... mam tylko kłopot z kamienicą. Miałem rządcę jednego, nic nie wart, nie pilnował. Ot, żeby tak kogo swego posadzić — westchnął.

— Czyż pan Łuka niema krewnych?

— Iii, tego dużo, ale nie chcę z nimi zachodzić... Ot, żebyśmy tak byli spokrewnieni — zaśmiał się znowu — zaraz oddałbym pani Karolowej rządcostwo... pani oszczędna, rzetelna, pracowita, ze świecą drugiej takiej szukać.

Gospodyni oczy zaświeciły się z radości. Módz zarobić, być rządczynią, lecz wstydziła się prosić Łukę, tylko więc spytała:

— Ileż pan Łuka płaci rządcy?

— Hm... hm... pani dałbym mieszkanie, śliczny pokój z kuchnią na parterze i dwadzieścia koron.

— To śliczny zarobek — westchnęła.

— I będzie, byleśmy zostali krewniakami — śmiał się.

— Wszystko w ręku Boga — powiedziała wymijająco.

— A panna Janina zawsze w biurze? — zwrócił się do dziewczyny.

— Tak jest — odpowiedziała, nie podnosząc oczu z roboty, którą wzięła przy wizycie.

— I nie nudno pani smarować piórem w tęchłej kancelaryi, gdy na polu tak ładnie — spytał Łuka.

— Nie — powiedziała oschle.

— O, co to, to nieprawda — uśmiechnęła się

matka — ileż razy narzekasz na zaduch i rwiesz się na pole, do lasu.

— Czasami to tak, ale obowiązek jest obowiązkiem.

— To lubię — zawołał Łuka — tak i być powinno, bo i w co obróciłby się cały świat, gdyby nie spełniano obowiązków?

— Pan Łuka znany jest z tego — pochlebiała matka.

— To też dorobiłem się czegoś... i dzieci przyzwyczaiłem i chcę mieć żonę obowiązkową.

— Tak, tak, to rzecz najważniejsza—potwierdziła gospodyni.

Rozmawiano o drożyźnie, o wyprawie Rózi, o dzieciach, wreszcie wstał Łuka i na wychodnem zawołał:

— Byłbym na śmierć zapomniał — rozpinał marynarkę — toż mam list od stryja panny Janiny.

— Co! był pan u niego? — zdziwiła się gospodyni.

— Było mi po drodze, to i zajechałem — wręczył list i pożegnawszy się wyszedł, mówiąc na odchodnem.

— Jutro wpadnę tu na chwilę... pogadamy o rządcostwie — uśmiechnął się.

Z gorączkowym pośpiechem otworzyła matka list i zaczęła czytać głośno.

Po zwykłych pytaniach o zdrowie, powodzenie, pisał stryj:

„Był u mnie pan Łuka i oświadczył się o Janinę. Człowiek stateczny, bogaty kamienicznik, miłujący Janinę po bożemu. Tak jest moją wolą i rozkazem, jako zastępuję jej ojca nieboszczyka, aby została ślubną małżonką tegoż Łuki. Żeby jednak on, jako bogacz, nie wykłuwał oczu Janinie, iż wziął ją ubogą, tak ja, jej rodzony stryj, zapisuję jej, po najdłuższem życiu, skoro będzie żoną Łuki, połowę mego majątku, a co potrzeba na wyprawę, także dodam..."

Kończąc ten list, żądał odpowiedzi z wyznaczeniem dnia ślubu, na który sam zjedzie.

— Jakie ty masz szczęście Janinko — powiedziała matka z uśmiechem zadowolenia. Tu ci grożą utratą posady, a tu stryj zapisuje ci majątek.

Janina milczała, układając w myśli sposób przekonania matki, że małżeństwo z Łuką jest niemożliwością.

— I jak ten Łuka ciebie kocha — mówiła z odcieniem dumy — przy tylu interesach i kłopotach z weselem Rózi, pojechał sam do stryja, aby go prosić o wstawienie się za nim... I będziesz panią, on będzie twoim sługą, co zechcesz to z nim zrobisz... no i nam będzie lepiej, pomyśl tylko, mieszkanie i dwadzieścia koron, a Jasia będzie można oddać do sklepu... Cóżeś taka milcząca i chmurna?

— Bo mi przykro, że mama mówi tylko o majątku i ani pomyśli o mojem szczęściu osobistem.

Ten zarzut rozczulił matkę i rzekła tonem serdecznym:

— Janinko, przecież jedynie twoje szczęście mam na myśli... bo i co mi Łuka, co mi stryj bez twojego szczęścia.

— Otóż moja mamo, ja będę nieszczęśliwa z Łuką... ja go niecierpię, brzydzę się nim.

— To są fantazye, nic więcej — zawołała matka. Łuka co prawda nie jest piękny, ale przystojny, zażywny, w sile wieku... a opływać będziesz we wszystko.

— Nie, nie chcę...

— Zobaczysz, po ślubie będziesz mówiła inaczej. Każda dziewczyna wzdraga się przed ślubem — uśmiechnęła się matka — a po ślubie rada. I ty będziesz mi wdzięczna, że cię namówiłam... prawdziwy los wygrałaś.

— Moja mamo, każdy człowiek pojmuje szczęście inaczej... może mama byłaby z Łuką szczęśliwa, ale nie ja.

— Ot głupstwa trzymają się ciebie! Gdybym była młoda i ładna, możeby się i ożenił ze mną i byłabym szczęśliwa... a zresztą o co się tu spierać, stryj zapisuje ci majątek i kazał wyjść za Łukę, to i koniec! Przecież nie zechcesz skrzywdzić rodzeństwa przez twój głupi upór, bo stryj napewno wydziedziczyłby nas, gdybyś go nie usłuchała.

Janina wyczerpana już poprzednią sprawą co do swej posady, nie czuła na razie dość siły, aby spierać się z matką i powiedziała:

— Moja mamo, może później pogadamy o tem wszystkiem, teraz jestem zmęczona.

— O czem tu gadać? — wzruszyła ramionami — sprawa skończona, a Łuka przyjdzie jutro z oświadczynami.

— Mama niema litości — zawołała ze łzami w oczach — mówię, że jestem zmęczona, a mama swoje.

— Już nic nie powiem Janinko, uspokój się... co ci dolega? Pewno głowa boli, a wszystko przez tego inspektora... ale teraz kpij sobie ze wszystkich posad.

— Mama znów zaczyna...

— Czy i mówić mi zabraniasz!? — oburzyła się — zawsze będziesz dzieckiem dla mnie, chociaż będziesz kupcową i posiądziesz kamienicę, a pamiętaj o szacunku.



Ja nie wyjdę za Łukę, a mama niech mu ten ożenek wybije z głowy.

— Dobrze mamo — wstała z krzesła — położę się trochę, może ból przejdzie.

Matka szybko zasłała łóżko, ułożyła Janinę i zasłoniła parawanem od światła.

Janina chcąc się uchronić od nagabywań w sprawie Łuki, leżała cicho, wreszcie usnęła.

Rano, gdy ubierała się szybko, spiesząc do biura, odezwała się matka:

— Mogłabyś dzisiaj nie iść do biura.

— Nie iść?... Dlaczego?

— Trzeba dziś posprzątać starannie, przygotować jakieś przyjęcie, no i przebrać się po ludzku.

— Mama znów o tym nieznośnym Łuce...

— Słuchaj no, dziewczyno — powiedziała surowo — bez tych głupich dąsań.

Janina milczała, ale zaciśnięte usta i wypieki na twarzy świadczyły, jak bardzo była wzburzona. Już kończyła się ubierać, gdy matka przyszła z kuchni, gdzie dzieciom dawała śniadanie i rozkazała:

— Zostań w domu.

— Nie mogę... kto wie, jakie warunki postawi Łuka, kto wie kiedy będzie ślub, a żyć musimy i pensya jest potrzebna.

— Hm... to prawda, chociaż jeden dzień opuszczenia nie zaszkodzi tak dalece.

— Ale mogę stracić posadę, bo i tak inspektor groził.

— Wróćże wcześnie.

— Jak zwykle... chyba, że będzie nadzwyczajna robota.

— Cóż ja zrobię z Łuką, co powiem?

— Że jestem zajęta w biurze... zresztą, że muszę poznać go bliżej... a będąc w drzwiach już dodała: — ja nie wyjdę za Łukę, a mama niech mu ten ożenek wybije z głowy — i szybko zbiegła ze schodów, nie słysząc czy nie chcąc słyszeć wołania matki. Na ulicy zwolniła kroku i chcąc uspokoić swe wzburzenie, szepnęła:

— Nigdy! przenigdy!

IX.

Inspektor w mundurze przeglądał jeszcze raz akt oskarżenia współuczestników zebrania. Co do wszystkich był ze sobą w zgodzie, tylko co do Traweckiej wahał się. Z jednej strony stawała ona, taka młoda, ładna, szczera i tę nietylko usprawiedliwiał, ale zmysły jego, pozostające pod urokiem jej postaci, domagały się, aby ona pozostała na swej posadzie, aby stosunek znajomości zmienił się na węzeł ściślejszy.

Lecz z drugiej strony poczucie urzędnika kazało mu ukarać tę otwartą socyalistkę, która przynosi ujmę stanowi urzędniczemu przez swe stosunki ze socyalistą Wapieńskim. I gdyby on był przynajmniej kolejarzem, zostawał pod kontrolą dyrekcyi, możnaby wybaczyć, bo i cóż dziwnego, że kolejarz kocha kolejarkę; ale on, intruz jakiś, nie będąc kolejarzem pcha się w cudze podwórko.

Jednak myśl, że z chwilą wydalenia Traweckiej, nigdy nie będzie mógł zbliżyć się do niej, była mu tak przykrą, że ostatecznie postanowił zostawić tę sprawę rozstrzygnięciu dyrektora, bo z tem co władza postanowi, on jako podwładny urzędnik, musi się zgodzić.

Z uderzeniem oznaczonej godziny poszedł do dyrektora. W przedpokoju oznajmił mu woźny, że pan nadinspektor jest u pana dyrektora. Inspektor Lerche zawahał się, ponieważ jednak otrzymał wyraźny rozkaz stawienia się w oznaczonej godzinie, więc wprawdzie z obawą, ale wszedł do przybytku wysokiej władzy. Skłonił się nisko, na co obaj dygnitarze ledwie dostrzegalnie poruszyli głowami, rozmawiając w dalszym ciągu o zajmującej ich sprawie.

Położenie inspektora stawało się przykrem, nie wiedział, co ma zrobić ze sobą. Wyjść bez zezwolenia dyrektora nie śmiał, a znów stać wyprężonym i czekać nie było przyjemnem. Namyślił się więc i cichem kaszlnięciem oznajmił swą obecność. Dyrektor spojrzał na niego, lecz nie przerywał swej rozmowy. Nareszcie skończył swą konferencyę, a gdy nadinspektor chciał odejść, przemówił dyrektor łaskawie:

— Zostań pan i wysłuchaj sprawozdania z owego zgromadzenia.

Na słowa te nadinspektor pochylił głowę i cofnął się trochę w głąb pokoju, a dyrektor spojrzeniem polecił inspektorowi zdać sprawę z badań ukończonych.

Ten odchrząknął, postąpił krok naprzód i zaczął:

— Jak słusznie pan hofrat się domyślił, owa kasa była tylko pozorem, rodzajem komedyi, poza którą tkwiło żądło... socyalizmu.

Dyrektor poruszył się niespokojnie i rzekł:

— Jesteś pan tego pewny?

— Najpewniejszy. Niejaki Wapieński, znany socyalista, dobrawszy sobie kilku powolnych urzędników, a mianowicie: Schillinga, Stańskiego, Kudzyńskiego, Berkholca i manipulantkę Trawecką, do spółki z nimi zamierzał wywołać zamęt i ustanowić coś w rodzaju komisyi, mającej śledzić wyższe organa władzy dyrekcyjnej. C. d. n.

Protest Polaków w parlamencie berlińskim.

Sprawa gwałtu, jakiego rząd pruski dopuścił się na narodzie polskim przez uchwalenie barbarzyńskiej ustawy o wywłaszczeniu, nie przestaje



Protest Polaków w parlamencie pruskim: Poseł Seyda, który wniósł i uzasadnił interpelacyę Koła polskiego w sprawie wywłaszczenia.

być przedmiotem żywej dyskusyi. Pisma polskie ogłaszają codziennie wywody wybitnych francuskich literatów i uczonych, którzy w odpowiedzi na ankietę Sienkiewicza, piętnują dosadnie niesprawiedliwość i niemoralność dzikiego kroku Prusaków.

Odezwała się też echem sprawa ta w parlamencie Rzeszy niemieckiej w Berlinie, gdzie imieniem tamtejszego Koła polskiego wniósł p. Seyda interpelacyę do rządu Rzeszy, a mianowicie na ręce kanclerza państwa, zapytując w niej, jak rząd zechce pogodzić wniesiony w sejmie pruskim przez rząd tamtejszy projekt o zarządzeniach ku wzmocnieniu niemczyzny w Prusiech Zachodnich i Poznańskiem, z duchem konstytucyi państwowej i postanowieniami księgi ustaw cywilnych, oraz jakie kroki zamierza kanclerz poczynić, aby zabezpieczyć podstawę porządku prawnego i społecznego, zagrożoną przez spodziewane wywłaszczenie z ziemi poddanych państwa ze względów politycznych.

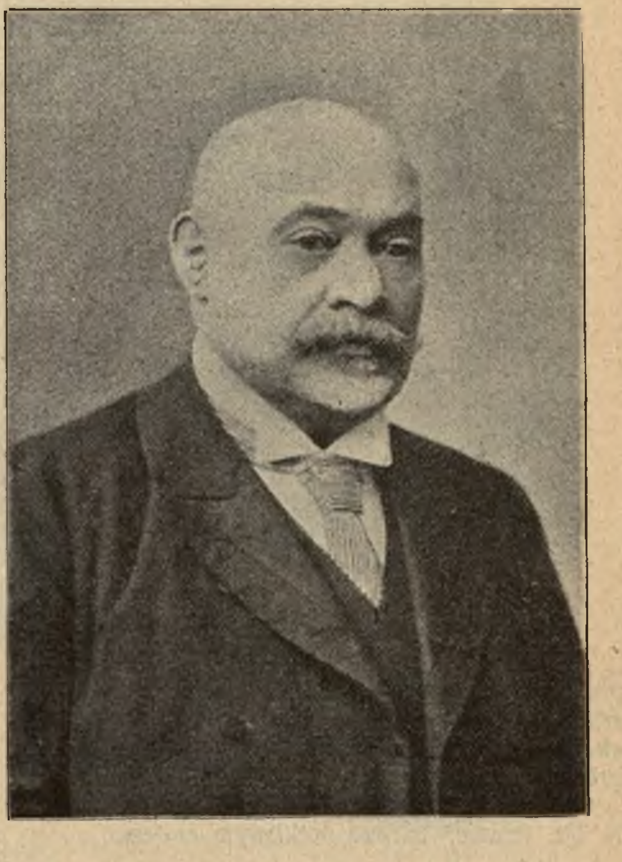
Interpelacyę tę podpisali prócz Polaków, centrowcy, którzy zwykle popierają naszych posłów w ich walce o podstawowe prawa narodowe. Rząd niemiecki odmówił odpowiedzi na zapytanie, tłómacząc się tem, iż sprawa wywłaszczenia należy przed forum sejmu pruskiego. Mimo to parlament uchwalił dyskusyę, poczem poseł dr. Seyda w obszernym, świetnym wywodzie uzasadniał wniesioną przez Koło polskie interpelacyę.

W przemówieniu tem scharakteryzował mowca Koła barbarzyńską politykę rządu pruskiego wobec narodu polskiego, przypominając cały szereg szykan i ustaw wyjątkowych. Wspomniał więc o wzbranianiu polskiemu ludowi budowy domów mieszkalnych, wspomniał o gwałceniu praw języka ojczystego, a przechodząc do najnowszego i najbrutalniejszego zamachu na prawa narodu, stwierdził, iż przedłożenie omawiane sprzeciwia się konstytucyi i ustawom Rzeszy, sprzeciwia się oraz ogólnej świadomości prawnej całego świata cywilizowanego.

Wniesieniem tej interpelacyi i uzasadnieniem jej przez posła Seydę, nie obali oczywiście Koło polskie barbarzyńskiego projektu pruskiego, ale dowiodło, iż obrona nieprzedawnionych nigdy praw narodowych jest pierwszym, najdonioślejszym punktem jego działalności.

Skon wiedeńskiego dziennikarza.

W prasie wiedeńskiej naczelne miejsce zajmuje dziś wielki dziennik liberalny „Neue Freie Presse“, rozpowszechniony szeroko w całej Austryi, a nawet w Galicyi liczący tysiące abonentów. Stąd wpływ tego pisma jest bardzo znaczny, w sprawach giełdowych zaś i finansowych jest „N. Fr. Presse“ wyrocznią. Mimo potęgi swej — którą się uznać musi — nie jest ten dziennik dla nas sympatyczny, jako bowiem zwolennik centralizacyi i germanizacyi w Austryi, korzysta z każdej sposobności, by zwalczać autonomiczne dążności polityków polskich, a przy tej sposobności niejednokrotnie napadał wprost na narodowość naszą. W sporach między Polakami i Rusinami bronił zawsze tych ostatnich, bez względu na to, po czyjej stronie była słuszność.



Skon wiedeńskiego dziennikarza: dr. Edward Bacher, zmarły redaktor »N. F. Presse«.

Na czele tego pisma stał od lat wielu jeden z najwybitniejszych i najzdolniejszych dziennikarzy wiedeńskich, dr. Edward Bacher, o którego śmierci doniosły przed kilkoma dniami dzienniki. Urodzony 1846 r., ukończył studya prawnicze, poczem pracował jako stenograf w parlamencie. Wnet potem powołany został przez redakcyę „Neue Fr. Presse“ na sprawozdawcę parlamentarnego, a dawszy się poznać jako doskonały stylista i po-



Fot. Jaworski, Złoczów.

Pożegnanie zasłużonego urzędnika: Ustępujący ze swego stanowiska radca dworu J. Heldenburg (X), w otoczeniu urzędników sądu, adwokatów, notaryuszów itd. w Złoczowie. Między nimi prezydent sądu Chorzemski (1) i senior adwokatów dr. Heyne (2).

lityk szybko się oryentujący, otrzymał już po ośmioletniej działalności stanowisko naczelnego redaktora tego pisma i prowadził je aż do ostatnich dni wspólnie z Maurycym Benedyktem. Wstępne artykuły „N. Fr. Presse", omawiające żywotne sprawy wewnętrznej polityki austryackiej, były prawie wyłącznie jego pióra, a cechowała ją głęboka znajomość stosunków, szeroka wiedza i styl bardzo potoczysty.

Śmierć dra Bachera jest więc dla wydawnictwa „N. Fr. Presse" bardzo dotkliwym ciosem.

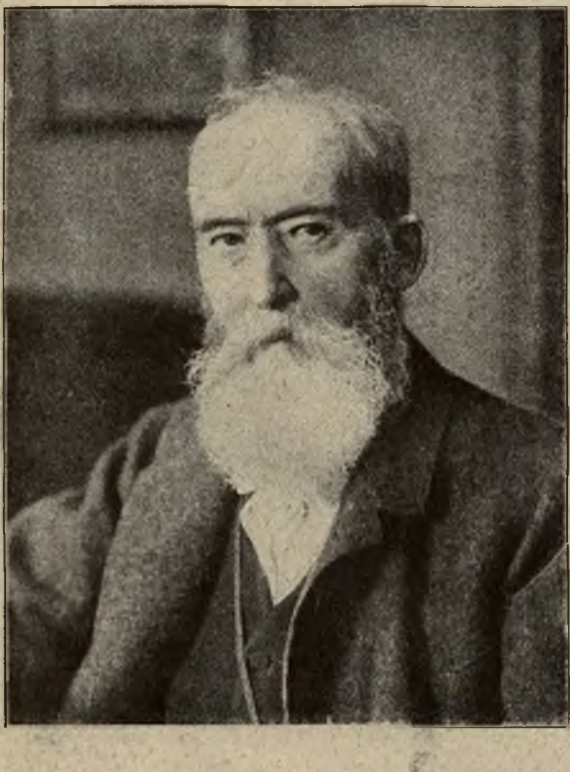


Tryumf awiatyki: Henryk Farman na swej maszynie do latania, w chwili przybycia do mety.

Pożegnanie zasłużonego urzędnika.

Sfery sądowe w Złoczowie pożegnały przed kilkunastu dniami zasłużonego urzędnika, radcę dworu Józefa Heldenburga, który z powodu nadwątlonego stanu zdrowia przeszedł na emeryturę. Mimo, iż w Złoczowie pracował dopiero od lat paru, zdobył tam sobie powszechne poważanie i sympatyę, odznaczał się bowiem nietylko wybitnemi zdolnościami, nietylko wielką sprężystością i wyrozumiałością jako sędzia ale i nieocenionymi przymiotami jako obywatel.

Rozpocząwszy w 1872 r. służbę w sądownictwie, przebywał kolejno w rozmaitych miejscowościach Galicyi, przechodząc na coraz wyższe stopnie hierarchii urzędniczej. Po kilkoletnim pobycie w Sanoku na stanowisku prokuratora państwa został powołany do Złoczowa, a przechodząc obecnie na emeryturę, otrzymał tytuł radcy dworu.



Skon niemieckiego humorysty: Wilhelm Busch.

Pożegnanie p. Heldenburga odbyło się uroczyście w wielkiej sali rozpraw sądu złoczowskiego, odświętnie przybranej. Zebrali się tam wszyscy urzędnicy sądowi, miejscowi adwokaci, notaryusze, lekarze i asesorowie sądowi. Imieniem obecnych przemawiali: prezydent sądu złoczowskiego, radca dworu Chorzemski, prokurator państwa Wilecki i senior tamtejszych adwokatów, mecenas dr. Heyne. W odpowiedzi podziękował p. Heldenburg w serdecznem przemówieniu za urządzoną owacyę i z szczerem rozrzewnieniem pożegnał się z tymi, którzy przez szereg lat wspólnie z nim pracowali. Dla upamiętnienia tego pięknego dnia, złożyli uczestnicy uroczystości 300 kor. na cele trzech burs studenckich, a to polskiej, ruskiej i izraelickiej, w przekonaniu, że humanitarnym tym krokiem najlepiej trafią w intencye żegnanego urzędnika-obywatela. Wspólne zdjęcie fotograficzne, zakończyło podniosłą uroczystość.

Tryumf awiatyki.

Pamiętne słowo „heureka" — może za wielkim Archimedesem powtórzyć sportowiec francuski Henryk Farman, ponieważ udało mu się wreszcie rozwiązać problem awiatyki. Różnica między awiatyką a aeronautyką polega w tem, że aeronautya posługuje się balonami, wypełnionymi gazem lżejszymi od powietrza, a stąd posiadającymi własną siłę wzniesienia, tak iż przy locie od pewnego punktu chodzi tylko o kierunek poziomy, czyli sterowanie, podczas gdy awiatyka ma na celu lot za pomocą przyrządu cięższego od powietrza, tj. aeroplanu. Przyrządy te rozmaicie są budowane, wszystkie jednakże wzorem ptaków mają za pomocą poruszanych przez motor skrzydeł i śrub wznosić się w górę i kierować dowolnie w kierunkach poziomych.

W ten sposób zbudowaną jest i maszyna do latania Farmana. Opiera się ona na systemie rozmaicie ułożonych płaszczyzn i sprawia z wyglądu wrażenie olbrzymiego ptaka. Jądro jej stanowi stalowa klatka o długości 10, a szerokości 2 mtr., wewnątrz której mieści się motor i ster. Motor ten, systemu Antoinette'a, o sile 50 koni, waży zaledwie 80 klg. i porusza śrubę, umieszczoną z tyłu. Cała powierzchnia aparatu razem ze skrzydłami wynosi 52 mtr. kwadratowych. Machina spoczywa na kółkach, które z chwilą puszczenia w ruch motoru poczynają toczyć się po powierzchni ziemi; w chwilę później, po odpowiedniem ustawieniu skrzydeł i steru, poczyna się cała machina w linii pochyłej wznosić w powietrze. Następnie przy dalszej manipulacyi sterami bocznymi, machina porusza się falistym ruchem w kierunku poziomym, zależnie nietylko od wiatru ale i najdrobniejszego nawet ruchu któregoś ze skrzydeł.

Na tej to skomplikowanej machinie zdobył Far-



Tryumf awiatyki: Henryk Farman, obok swej maszyny do latania.

man w ubiegłym tygodniu nagrodę Deutsch-Archedeakona w kwocie 50.000 franków, dopełniwszy wszystkich w tym konkursie oznaczonych warunków. Próba odbyła się na polu manewrów aeronautycznych w Issy pod Paryżem, wobec komisyi aeroklubu. O naznaczonej godzinie wzniósł się Farman na swej maszynie do wysokości około 12 metrów, przeleciał — niby olbrzymi ptak — spokojnie 500 mtr., a wykonawszy bez zarzutu i we właściwym punkcie zwrot o silnej krzywiźnie, powrócił do punktu wzlotu, powitany jako zwycięsca oklaskami zgromadzonych widzów.



Ujęcie sprytnego defraudanta: Piotr Krzyżanowski

Henryk Farman, którego imię z powodu wielkiego tryumfu jego wynalazku jest dziś głośnem w całym świecie, liczy obecnie 33 lat życia. Pochodzi z angielskiej rodziny, urodził się jednak i wychował w Paryżu, a od najmłodszych lat poświęcał się rozmaitym sportom. Początkowo wraz z bratem swym Maurycym oddawał się sportowi kołowemu, zdobywając na tandemie liczne nagrody. W tym czasie kształcił się zarazem w malarstwie, uprawiając równocześnie atletykę. Następnie oddał się sportowi samochodowemu, zdobywając i tu nagrody. Obecnie zaś uprawia sport napowietrzny, w rozwoju którego położył tak wielkie zasługi.



Rekonstrukcya ratusza we Lwowie: Laureat konkursu, architekt Roman Bandurski.

Skon niemieckiego humorysty.

Niemcy utraciły obecnie jednego z największych swych humorystów i karykaturzystów, Wilhelma Buscha, którego prace piórem i ołówkiem, rozeszły się w stu przeszło wydaniach.

Urodzony w prowincyi Hannowerskiej w roku 1832, kształcił się początkowo na inżyniera na politechnice hannowerskiej, w końcu jednak rysunki techniczne zamienił na humorystyczne i one to zjednały mu taką sławę. Dla wydoskonalenia się w sztuce wstąpił do Akademii malarskiej w Düsseldorfie, następnie przeniósł się do Antwerpii, a wreszcie do Monachium.

Pierwsze jego rysunki ukazały się we „Fliegende Blätter“, wówczas, gdy pismo to stało na czele wszystkich europejskich wydawnictw humorystycznych. Wkrótce do rysunków swych począł dodawać i rymowane objaśnienia, w których humor walczył o lepsze z karykaturą rysunku. W ten sposób powstały niezapomniane nigdy, a czytywane zawsze przez stare i młode pokolenia perły humoru niemieckiego: „Maks i Moritz“, „Pobożna Helena“, „Sen Edwarda“ i w. i. W roku zeszłym obchodził siedmdziesiątą piątą rocznicę urodzin, z powodu której otrzymał od wielbicieli swego talentu wiele podarków i adresów. Zmarł przed kilku dniami na udar serca.



Jeleń w zaprzęgu: Gospodarz z Bawaryi, używający oswojonego jelenia do zaprzęgu.

Rekonstrukcya ratusza we Lwowie.

Na szczęśliwą drogę wstępuje trudna sprawa rekonstrukcyi dzisiejszego ratusza lwowskiego, tego ogromnego a banalnego budynku, szpecącego po dziś dzień piękne miasto Lwów. Gmina tego miasta, która już tylokrotnie złożyła dowody patryotyzmu i w sprawach artystycznych i architektonicznych, zawsze apelowała do sił rodzimych i tym razem ogłosiła konkurs pomiędzy polskimi architektami.

Rzadkim, prawie wyjątkowym wypadkiem nazwać musimy jednomyślność całego sądu konkursowego, któremu przewodniczył radca dworu, znakomity architekt wiedeński, p. Emil Förster.

Pierwszą nagrodę na tym wielkim i doniosłym konkursie otrzymał architekt p. Roman Bandurski, krakowianin, a głównym powodem zwycięstwa p. Bandurskiego było nadanie jego budynkowi charakteru nawskróś rodzimego, jakto z naciskiem protokół obrad jury zaznacza; przytem potrafił p. Bandurski wszystkie trudności zadania szczęśliwie i w praktyczny sposób przezwyciężyć. Projekt jego pod godłem „Twardy orzech“ może stanowić podstawę bardzo rychłego wykonania, a miasto Lwów pozyska w zamian za dzisiejszą szpetną skrzynię, budynek potrzebom administracyjnym odpowiadający i ze względów artystycznych świadczący, że mamy naszą polską, rodzimą architekturę.

Drugą nagrodę otrzymał architekt Handzielewicz z Warszawy, trzecią arch. Pajzderski z Poznańskiego.

Kraków-Warszawa-Poznań — pięknie to wypadło! Oprócz tego sąd konkursowy polecił do zakupna prace pp. Piątkowskiego ze Lwowa, Kędzierskiego ze Lwowa, tudzież pp. Stryjeńskiego i Mączyńskiego z Krakowa.

P. Roman Bandurski urodził się w roku 1874 w Chyrowie w Galicyi, ukończył wydział budownictwa w wyższej szkole przemysłowej w Krakowie pod prof. Odrzywolskim i prof. Zawiejskim, następnie pracował cały szereg lat u znakomitego architekta, prof. politechniki lwowskiej p. Teodora Talowskiego.

Od lat czteru jest p. Bandurski inspektorem budownictwa w krakowskim magistracie, ponadto zaś dał się poznać jako autor szeregu nagrodzonych i odznaczonych na licznych konkursach projektów architektonicznych. Z najważniejszych jego prac nagrodzonych, to ratusz miasta Stryja — gmach izby handlowej i przemysłowej we Lwowie, Kasa oszczędności Rzeszowa — budynek krakowskiego tow. Technicznego — gmach Rady powiatowej w Mielcu i w Samborze, — Akademia handlowa w Łodzi — gmach Sokoła w Gorlicach



Porwanie pięknej żydóweczki: Frania Wiederszalówna.

i wiele innych. Prócz projektów konkursowych wykonał też szereg projektów will tak w Krakowie jako też poza i Krakowem.

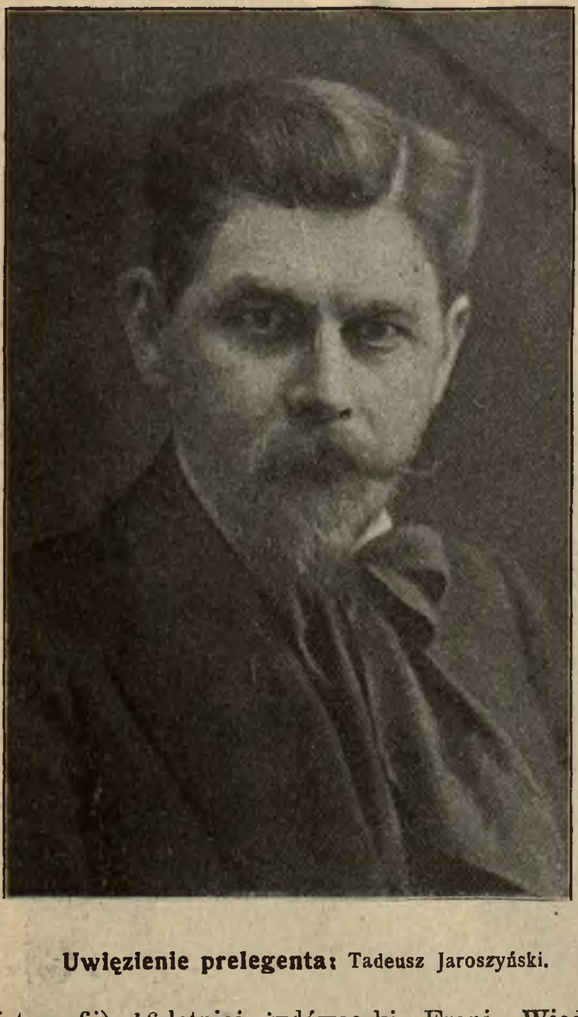


Fot. M. Münz, Lwów.
Rekonstrukcya ratusza we Lwowie: Dzisiejszy gmach ratuszowy.

Porwanie pięknej żydóweczki.

Dużego rumoru i hałasu narobiła w warszawskiej prasie postępowej historya romantyczna, która rozegrała się przed kilku tygodniami, a której ostateczne rozwiązanie jednak dotąd nie nastąpiło.

Sprawą, która tak potrafiła zająć uwagę niesłychanie zobojętniałej dziś na wszelkie sensacye Warszawy — jest uprowadzenie przez narzeczonego, pięknej (jak to widzimy na załączonej dziś



Uwięzienie prelegenta: Tadeusz Jaroszyński.

fotografii) 16-letniej żydóweczki, Frani Wiederszalównej i ukrycie jej w schronisku dla sierót hr. Branickich w Wilanowie pod Warszawą, aż do chwili przyjęcia przez dziewczę chrztu św., po którym to akcie ma nastąpić połączenie węzłem dozgonnym zakochanej pary, a jednocześnie przelanie praw opiekuńczych z rodziców na męża.

Szczegóły, dotyczące samego faktu, tak się przedstawiają: W domu przy ul. Mostowej l. 8, mieszka niejaki Aleksander Wiederszal, felczer, człowiek średnio zamożny. Wiederszalowie mają córkę, 16-letnią Franię, dziewczynę niezwykłej urody, pieszczoną jedynaczkę, uczęszczającą na pensyę. Dnia 18 grudnia z. r. dziewczę nie przyszło wieczorem do domu; widziano ją w południe, a potem ani śladu. Po pełnej niepokoju nocy, rozpoczęto rano poszukiwania i w stoliku pensyonarki znaleziono listy z podpisem niejakiego Nowakowskiego. Pracował on w swoim czasie u Wiederszala jako subjekt; liczy lat 19. Po nitce — do kłębka: w ciągu dni paru stwierdzono, że dziewczynę uwiózł Nowakowski do przytułku dla sierót w Wilanowie. Uradowany wiadomością o córce ojciec wybiera się do dawnej rezydencyi królewskiej. Spotyka go jednak zawód: przełożona zakładu, siostra Ludwika rozmawiać z nim nie chce, utrzymując, że nie wie o co chodzi, że Frania w schronisku nie gości. Wiederszal powrócił do Warszawy gdzie źródła miarodajne zapewniają o pobycie dziewczęcia w schronisku. Jadą więc rodzice oboje; płaczą, błagają; chcą tylko córkę zobaczyć. Znowu do wnnętrza przytułku wpuścić ich nie chcą. Powtarza się to parę razy. Wzywano interwencyi osób zainteresowanych pośrednio: tam uprzejmie... obiecywano. Wiederszalowie oddali wtedy sprawę adwokatowi. Układy ze schroniskiem trwały prawie do ostatniej chwili, ale bez skutku; wreszcie zwrócono się do prasy. Ale i „piła“ dzienników nie wiele dotychczas zrobiła. Frania w dalszym ciągu siedzi w schronisku, z nikim z rodziny widzieć się nie chce i na żadne układy również się nie godzi.

Ostatnia faza tej sprawy jest taka: P. Wiederszal, idąc za radą, że instytucyą najbardziej wskazaną do zbadania i załatwienia sprawy jest Towarzystwo opieki nad dziećmi, zwrócił się do tego Towarzystwa z prośbą o interwencyę. Zarząd chętnie życzeniu ojca uczynił zadość i postanowił wydelegować swego prezesa, p. Bernarda Lauterbacha, do przytułku, dla zaopiekowania się stosunkiem małoletniej Wiederszalównej do rodziców.



Fot. M. Münz, Lwów.
Rekonstrukcya ratusza we Lwowie: Odznaczony I. nagrodą projekt arch. Bandurskiego, na rekonstrukcyę gmachu lwowskiego ratusza.

NIEWINNIE POSĄDZONY.

Powieść według aktów sądowych. Tłómaczył Felicyan Dulski.

7 (Ciąg dalszy).

— Tchórzem! — zawołał Dossenau zmienionym głosem — i umilkł.

I znowu nic nie mówili do siebie i znowu Wolfgang przypomniał sobie Helenę.

Byli już blisko zamku, gdy Dossenau zapytał nagle:

— Ale, ale — jakże się panu podobała Helena? Przyjemna dziewczyna, co?

— Podziwiam prawdziwe wykształcenie i wychowanie panny Heleny.

— Tylko to?

— Jest bardzo piękną, bardzo ujmującą, ale i piękność i bowab spotyka się dosyć często; natomiast takie wykształcenie, takie wychowanie są prawdziwą rzadkością.

— Może się to panu tylko wydaje? Zobaczyłeś córkę leśniczego, żyjącą zdala od świata i ludzi i zdawało ci się, że to pewnie taka sobie zwykła gąska wiejska. Trzeba panu tę zagadkę rozwiązać. Po owem nieszczęściu z moim bratem — przeniosłem się tu, do tego zamczyska. Gospodarstwo zdałem zupełnie na rządcę, który też zajmuje się niem jaknajlepiej, a sam zabrałem się do pisania różnych pamiętników. Już panu o tem wspominałem. Ale pisanie nie wypełniło życia, więc dzieliłem je między kałamarz i las. Skutkiem tego Barlow stał się jakoby wspólnikiem tej mojej samotności, jedynym prawie towarzyszem, a co za tem poszło i jedynym przyjacielem. To też zajmowałem się nim i jego rodziną po przyjacielsku, może po bratersku nawet. Przed dziewiętnastu laty umarła mu żona, wydawszy na świat Helenę. Co było czynić z tem biednem dziecięciem? Barlow z rozpaczy za żoną popadł w zadumę, tak że przez kilka miesięcy o Bożym świecie nie wiedział, a potem opanowała go ta mania wyszukiwania mordercy. Zająłem się tem dziecięciem od pierwszej chwili jego życia, otoczyłem je jaknajtroskliwszą opieką, wyszukaws y dla niej jaknajlepszą wychowawczynię, potem s)rowadziłem nauczycielki, a wreszcie, gdy wyrosła, oddałem ją do najznakomitszego pensyonatu w Dreźnie, gdzie się kształciła przez lat kilka. Nie uważałem tego za żadne dobrodziejstwo, tylko za obowiązek sumienia. Ten człowiek doznał krzywdy w naszej rodzinie i przez naszą rodzinę; był najwierniejszym sługą i najszczerszym przyjacielem. Przy tem też było to jakąś naturalną potrzebą mego serca. Uczucie rodzicielskie jest przecież człowiekowi przeznaczone i każdy pragnie go doznać. Człowiek, co niema żony i dzieci, przywiązuje się niekiedy do obcego dziecka tem rodzicielskiem uczuciem. I ja też przywiązałem się do tej dziewczyny, prawdziwie po ojcowsku. I to nawet wzmacnia moją przyjaźń dla Barlowa, bo mu poniekąd wdzięczny za to jestem, że jest ojcem istoty, która we mnie te uczucia rodzicielskie obudziła. Doznaję też wielkiej za to nagrody, bo dziewczyna jest prawdziwie niepospolitą.

U kobiety szukamy przedewszystkiem serca, a ona je ma, tak szlachetne, tak tkliwe! Obok serca powinien być spokój umysłu, rozwaga, trzeźwość sądu. Bez tego dopełnienia byłaby kobieta dobrą, ale nie mogłaby zapewnić domowi spokoju i harmonii. Powiadają niekiedy, że od kobiety nie można domagać się tego, o czem tu mówię, to jest owej rozwagi, spokoju umysłu i trzeźwości sądu. Kto tak mówi, kobietom ubliża i zapomina o tem, że co innego baba, a co innego kobieta. Otóż mój doktorze ja znałem bardzo wiele bab, ale bardzo mało kobiet. A dlaczego? bo u nas na nieszczęście wychowuje się dziewczęta na baby, ale nie na kobiety. Ale ciebie to pewnie nudzi. To ci tylko wytłómaczę, że baba może mieć najlepsze serce, może być istotą najczulszą, ale tkwi w niej przekora, upór, skłonność do uprzedzeń, miękkość wobec wszelkich wzruszeń, sądzenie o wszystkiem według kaprysu, lub chwilowego uniesienia. Baba nie rozważa nad tem, co właściwe, co rozumne i według tego nie postępuje, tylko według tego, jak ją porwie chwilowe usposobienie. Kobieta — mój doktorze — taktem, rozwagą, trzeźwością sądu, poczuciem sprawiedliwości, przewyższyć zdolna niekiedy najtrzeźwiejszego mężczyznę. Ponieważ sobie wyobrażam, że nie mógłbym doznać prawdziwego szczęścia w pożyciu z babą, przeto zdaje mi się, że i inni ludzie doznaćby go nie mogli. Natomiast mam to przeświadczenie, że kobieta może być największem szczęściem mężczyzny i dlatego, to Helenę na kobietę, a nie na babę chowałem. Dlatego to ona jest opiekuńczym duchem i ojca swego i moim i niemal całej okolicy.

— W tem zaciszu ukryło się tyle niezwykłych charakterów! Istotnie, że pannę Helenę należy podziwiać; niepospolita to osoba. Jeżeli mogę być otwartym, to muszę wyrazić też podziw dla takiego jak pan opiekuna. Chyba niema na świecie kogoś drugiego, prócz pana, ktoby tyle okazywał przyjaźni, a nawet poświęcenia dla swego oficyalisty. A ta wrażliwość Barlowa, to głębokie uczucie honoru, są również wyjątkowem zjawiskiem.

— To już nie poczucie honoru, tylko wprost dziwactwo. Ten stary osioł wszystkim nam zatruwa życie. Dzieje mu się dobrze, opływa we wszystko, w córce może upatrywać jak największe szczęście swojego życia, a dręczy się tą marą przeszłości.

— Ośmielę się sprzeciwić panu. To nie próżna mara go dręczy, ale uczucie najstraszniejszej krzywdy, jakiej człowiek doznać może, bo krzywdy swej czci i godności osobistej. To godne i szacunku i współczucia. I dobrobyt i wszystkie dobrodziejstwa, któremi go pan otacza, nie mogą zatrzeć uczucia i wspomnienia krzywdy, którą mu wyrządził jakiś łotr nikczemny.

Na te słowa zatrzymał się Dossenau i spojrzał na Wolfganga przeciągłym wzrokiem, a potem położył mu rękę na ramieniu i patrząc bystro w oczy, zanytał poważnie i smętnie:

— Więc sądzisz mój doktorze, że to musiał być łotr nikczemny?

— Niezawodnie — odpowiedział Wolfgang również poważnie, zdziwiony nie tyle pytaniem, ile sposobem, w jaki je Dossenau zadał.

— Uznajesz to pan za tak straszną krzywdę, że o niej zapomnieć nie można?

— Zdaje mi się, że jabym o niej nie zapomniał, choćby ją we mnie milionowy majątek zagłuszyć usiłował.

— Prawda — rzekł Dossenau ponuro, usunął rękę z ramienia Wolfganga i zdążał już ku zamkowi w milczeniu. Gdy stanęli przed bramą, rzekł Dossenau do Wolfganga obojętnie:

— Dzień taki ponury, wychylić się na świat nie miło, to może pan zechce przejrzeć coś z moich rękopisów; zaraz je panu przyszlę, a teraz — do widzenia kochany doktorze.

VIII.

Już gęsty zmrok zapadł, a Wolfgang wczytywał się jeszcze przy oknie w rękopis. Zrazu, gdy go wziął w rękę, do czytania zabrać się nie mógł, bo mu kłębiło się w głowie. W tak krótkim czasie tyle wrażeń, tyle wzruszeń. Uporczywie czepiała mu się pamięci rusałka nad wodospadem, to znowu wstrząsająca przygoda w ogrodzie zimowym. Syczał mu w uszach list Mühldorfera. Z drugiej strony nasuwają się ostatnie wrażenia i ten stary leśniczy i ten oryginalny Dossenau, a przedewszystkiem urocza, szlachetna, budząca cześć i uwielbienie córka leśniczego. Te wrażenia i wspomnienia tłoczą się w jego głowie, potrącają, spychają, aż ponad wszystkiem, jak promień słonecznej pogody po burzy, jaśnieje przed nim piękna twarz Heleny. I ten słoneczny promień uspokoił go nieco, usunął w głąb ponure wspomnienia i uczucia, aż wreszcie ujął Wolfgang rękopis w rękę i czytać go zaczął.

Czytał obojętnie, potem z coraz większem zajęciem, aż wreszcie tak się weń zagłębił, że oderwać się nie mógł od niego. Rzecz pisana poprostu, bez silenia się na terminologie uczonych, ale pełna bystrych spostrzeżeń, głębokich prawd, czerpanych z doświadczeń życia. Było to coś w rodzaju praktycznej filozofii, okraszonej miejscami dowcipem, miejscami polotem prawdziwie wzniosłej poezyi. Zdumiewał się Wolfgang — czytając, że w tym człowieku napozór szorstkim, rubasznym, jest takie bogactwo ducha, takie potężne źródło uczucia i natchnień poetyckich.

Ciemno — czytać nie można, Wolfgang wstaje z krzesła, sięga po zapałki, by zaświecić lampę, w tem zimna dłoń przytrzymuje mu rękę. Zdziwiony — obraca się Wolfgang i spostrzega Dossenaua — siedzącego w fotelu. Tak się zaczytał, że nie spostrzegł i nie słyszał, jak Dossenau wszedł po cichu do pokoju i usiadł za jego plecyma.

— Nie zaświecaj pan lampy, szara godzina, najlepiej gwarzyć. Pozwól mi chwilę rozmowy. W moim wieku gadulstwo staje się potrzebą duszy.

Mówił to Dossenau smutno i wyglądał też zupełnie inaczej, niż przedtem. Na twarzy drgała jakaś boleść wewnętrzna, był blady, zgnębiony, a mówił głosem stłumionym. Wolfgang myślał, że Dossenau zechce o swoim rękopisie rozmawiać, więc pod wrażeniem przeczytanych ustępów odezwał się:

— Tak mnie praca pańska zajęła, że nie mogłem się od czytania oderwać.

— Nie mówmy teraz o tem, mamy dość na to czasu. Chciałem zasięgnąć twojego zdania — panie doktorze — w sprawie bardzo poważnej. Wiesz, jak lubię starego Barlowa, więc nie dziw, że mnie jego dola obchodzi. Zastanawiałem się nad tem, coś mi napomknął, i dlatego chcę jeszcze o tem pomówić. Czy pan naprawdę ma to przekonanie, że Barlow ma prawo, czy też potrzebę duszy czuć się nieszczęśliwym?

— Zdaje mi się, że to wątpliwości ulegać nie może.

— Mówię z panem o tem, bo mi pan przypominasz kogoś, kogo bardzo w życiu kochałem; mówię z panem o tem, bo oceniam w tobie uczciwość i niepodległość zdania. Sprawa poważna; nie chciałbym lekceważyć tego, co mi się u Barlowa tylko dziwactwem wydaje, czy też chorobliwem maniactwem, jeżeli to jest poczucie krzywdy, żądne zadośćuczynienia i zasługujące na nie. Opowiem panu raz jeszcze wszystko, abyś rozważył sumienie i potem wypowiedział swe przekonanie. Barlow doznał istotnie przykrości, bo go posądzono o zamordowanie mojego brata. Przebył w więzieniu przez pół roku i oto wszystko. Wypuszczono go wprawdzie tylko dla braku dowodów, ale podejrzenia w krótkim czasie zupełnie ustały, nikt go już o nic nie posądzał i ludzie zaczęli go na nowo szanować jak przedtem, a nawet poniekąd jeszcze więcej okazywali mu poważania, uwierzywszy w to, że został nie słusznie obwinionym i chcąc mu za to okazać pewien rodzaj współczucia. Mógł więc uspokoić się całkowicie i zapomnieć o tej niemiłej przygodzie. Ludzie przestali o tem mówić, z biegiem lat zapomnieli nawet o tem i dziś ani śladu z tego wszystkiego nie byłoby pozostało, gdyby nie maniactwo Barlowa, który wciąż te przebrzmiałe historye odgrzebuje. Opływając we wszystko, żyjąc w dostatku, powinienby się uważać za człowieka zupełnie szczęśliwego i cieszyć się widokiem córki, zadawalniać moją życzliwością. Odkrycie istotnego winowajcy nie zmieniłoby przecież w niczem doli Barlowa, nie mogłoby jej poprawić, bo jest tak dobrą, że lepszą być nie może. Wobec tego zapytuję pana, czy odkrycie winowajcy jest potrzebne dla szczęścia Barlowa i czy zyskałby przez nie zupełne uspokojenie umysłu? Namyśl się pan dobrze! To rzecz poważniejsza, niżeli pan sądzi. Chciałbym już raz skończyć tę historyę i nie krzywdzić Barlowa ciągłem posądzaniem go o chorobliwe dziwactwo.

Dossenau skończył i czekał odpowiedzi. Wolfgang namyślał się i zastanawiał nad tem, dlaczego Dossenau tak uporczywie ten przedmiot porusza i dlaczego tak uroczyście o tem rozmawia. Po długiej chwili odezwał się wreszcie:

— Bądźcobądź stan duszy Barlowa jest nieprawidłowy. Zdaje mi się, że ten człowiek skończy obłąkaniem, jeżeli się jego marzenie nie spełni. Gdyby się udało odkryć winowajcę, nie wątpię, że odzyskałby spokój duszy i przedłużyłby swoje życie.

— Dziękuję panu. A teraz jeszcze jedno pytanie, czysto teoretyczne. Zastanawiałem się nieraz nad tem, czy zamknięcie zbrodniarza do więzienia jest dostatecznem zadośćuczynieniem wobec ludzkości, za zbrodnię popełnioną. Zamknięto zbrodniarza i wiedzie żywot bezużyteczny, wegetacyjny, bez pożytku dla świata i ludzi. Gdyby zamiast tego ów zbrodniarz starał się dobrymi uczynkami, zaparciem samego siebie, uczciwą i pożyteczną dla ludzkości praca służyć społeczeństwu, czy nie byłoby z tego większego pożytku? czy nie byłoby to bardziej po chrześcijańsku, a nawet rozumniej i logiczniej?

Znowu nastało milczenie, znowu Wolfgang się zamyślił.

— Jakże pan sądzi kochany doktorze? — przerwał milczenie Dossenau.

— Odwieczna to zasada, że nikt nie może być sędzią w swojej sprawie, nikt więc sam na siebie wyroku wydawać nie może i kary sobie wyznaczać. Jeżeli ktokolwiek zdeptał prawo, pod rygor prawa pociągniętym być winien, a jeżeli usuwa się od tego, ukrywa się przed wymiarem sprawiedliwości, jest nikczemnym tchórzem, bo niema odwagi znieść tego, na co zasłużył.

— Jesteś pan surowym sędzią panie doktorze, ale też i sprawiedliwym. No, no! dziękuję panu serdecznie. Ot, wybacz staremu gadule, że cię u-

nudził temi pytaniami. Dobranoc doktorze! Dziś wieczorem się nie zobaczymy, pozwól, że ci tu podadzą kolację. Zebrała mnie ochota zabrać się znowu do pióra. A śpij doktorze spokojnie, zapomnij o swoich przygodach we Walramsegg. Dobranoc!

Dossenau wyszedł, kazał służącemu wezwać do siebie Barlowa natychmiast, w sprawie ważnej, a Wolfgang stał jeszcze chwilę, zastanawiając się nad tem, co ta rozmowa właściwie znaczyć mogła? Bądźcobądź Dossenau był jakiś inny, niż zwykle, brakło mu rubasznej jowialności, pogodnego nastroju, a natomiast widać w nim było zakłopotanie, rzewność i silenie się na spokój. Może to chwilowe jakieś wzruszenie, wynikające z życzliwości dla Barlowa, pomyślał doktor i zaświeciwszy lampę zaczął czytać dalszy ciąg rękopisu.

Wnet przyniesiono mu kolację, czytanie odłożył, a przy jedzeniu zaczęły mu się znowu przypominać niedawne przygody. I znowu natrętna rusałka i hrabia de Rivallier i list Mühldorfera i stary Barlow, aż te wszystkie obrazy zdmuchnęła postać Heleny. Coraz wyraźniej jaśniała mu przed oczyma, a coraz głębiej wściskała się w serce. Marzył i marzył roskosznie, aż wicher zahuczał przeraźliwie, zatrząsł szybami w oknach, a szum lasu chwilami zamieniał się w dzikie wycie i w jęk potępieńców. Ulewny deszcz tłukł w szyby, czasem błyskawica rozdarła niebo i grzmot rozsypywał po lesie hałaśliwe echa. W tem starem zamczysku, wśród gęstwiny leśnej wydała się ta burza Wolfgangowi zjawiskiem, wyjętem z piekła dantejskiego. Ale doznawał pewnej roskoszy, bo był w tem urok nietylko grozy, ale i malowniczości natury.

Wreszcie zaczęło się uciszać, wicher pogonił rozpruwać dalsze przestrzenie, cisza nastała dokoła zamku, tylko jednostajne pukanie deszczu o szyby zaczęło usypiać rozmarzonego Wolfganga. Wyciągnął się na sofie, aby jeszcze marzyć, ale sen go nagle pochwycił i Wolfgang zasnął w ubraniu.

Około północy zbudził się, usłyszawszy nad głową jakieś gwałtowne uderzenie o sufit. Zdawało mu się, że to sen; oczy mu się kleją, zasypiać zaczyna na nowo, gdy w tem słyszy krzyk przeraźliwy, jakby wołanie o pomoc, jakby jęk rozpaczy.

Zrywa się, nadsłuchuje i znowu krzyk i znowu uderzenie w sufit, jakby tam jakiś ciężar runął, lub wyrzucony został z ogromnym zamachem. Wybiega z pokoju, pędzi po schodach na piętro, widzi tam przez szparę drzwi niedomkniętych światło w pokoju Dossenaua, podnosi rękę ku drzwiom, aby je otworzyć i wejść, gdy nagle na progu stanął Dossenau. Włosy miał zjeżone, twarz bladą, oczy roziskrzone; wyprostowany był, olbrzymi, groźny. Zobaczył Wolfganga, zatrzasnął prędko drzwi za sobą, ale Wolfgang jednym rzutem oka dostrzegł w pokoju Barlowa, siedzącego w kącie, zwiniętego w kabłąk, z głową na dłoniach opartą.

— Ten stary dziwak dostał znowu napadu i nie może się uspokoić. Nie zważaj na to kochany doktorze i chodź spać.

To rzekłszy, ujął Dossenau Wolfganga pod ramię i pod pozorem, że go chce po schodach sprowadzić, trzymał go dość mocno, dopóki nie weszli do pokoju Wolfganga.

— Połóż się pan i śpij spokojnie, a gdy będziesz słyszał jeszcze jakieś hałasy, to nie zważaj na nie, bo starego najlepiej samemu sobie zostawić, gdy we furyę popadnie. Jeżeliby stary Barlow nie uspokoił się do jutra, miałbyś pan pobyt u mnie bardzo zatruty. No, zobaczymy jak to będzie, a teraz śpij kochany doktorze i nie wychodź z pokoju.

Ani Dossenau ani Wolfgang nie spostrzegli, że gdy schodzili na dół, tuż za nimi szedł po cichu Barlow i kiedy oni weszli do pokoju Wolfganga, on poszedł w dziedziniec zamkowy.

Dossenau raz jeszcze zachęcił Wolfganga, aby spał spokojnie i nie zważał na awantury Barlowa, poczem poszedł na piętro i słychać było, jak za sobą drzwi zaryglował.

Wolfgang nie mógł zasnąć; drzemał chwilami i wnet się budził. Ta nocna awantura Dossenaua z Barlowem snu go pozbawiła.

IX.

Zaledwie świtać zaczęło, Wolfgang podniósł się z posłania; zmęczony bezsennością chciał odetchnąć świeżem powietrzem. Podnosi zasłonę z okna i spostrzega kłęby dymu, koło okien się snujące. Zdziwiony tem otwiera okno, wychyla się i widzi płomienie, dobywające się z pierwszego piętra. Zarzuca w pośpiechu na siebie ubranie, wybiega na dwór i widzi, że pożar zamek ogarnął. Rozgląda się, nigdzie dokoła żywej duszy, płomienie wzrastają szybko i dach ogarniają. Zaczyna wołać, ale nigdzie nikogo nie widać, dopiero po chwili zjawiła się służba zamkowa.

— Gdzie pan Dossenau? — krzyknął Wolfgang przeraźliwie — czy nie wyszedł z mieszkania?



Biorą na ręce nieszczęśliwego i znoszą.

— Nikt go jeszcze nie widział, pewnie jeszcze śpi w swoim pokoju.

— Za mną chłopcy, musimy pana ocalić — krzyknął Wolfgang i biegł na schody, a za nim tylko jeden ze służby iść się odważył.

Już dopadł pierwszego piętra, jest pod drzwiami sypialni Dossenaua, chce je otworzyć, ale drzwi z wewnątrz zaryglowane, ani ich otworzyć, ani wyważyć niema siły; więc bije w nie pięściami, woła, krzyczy, ale nikt nie odpowiada. Rozpacz go ogarnia, tembardziej, że płomienie już od strony schodów zaczynają się dobywać i mogą mu zaprzeć odwrót, zdusić go popod drzwiami i spalić. Jeszcze ostatnim wysiłkiem uderza we drzwi, ale i teraz daremnie. W tej chwili usłyszał głos poza sobą:

— Gdzie ojciec mój?

Był to głos Heleny. Zwrócił się do niej Wolfgang, chciał coś przemówić, ale Helena zdławiona przerażeniem i dymem padła zemdlona. Wolfgang podnosi ją i biegnie trzymając ją jak dziecko, ale już schody w płomieniach trzeszczą, zapadają się zwęglone. Służący wyważa małe drzwiczki, na kurytarz wiodące, idzie przodem, drogę pokazuje, aż przez kręte kurytarze, do których ogień jeszcze nie dotarł, wydostali się na główne schody zamku i wyszli szczęśliwie.

Tymczasem nadbiegli ludzie ze wsi i służba pałacowa z Dossenau pod kierunkiem rządcy. Helena była cokolwiek poparzona, bo suknia się na niej zajęła. Oddał ją Wolfgang pod opiekę kobiet i rządcy, a sam myślał tylko o tem, aby się rzucić w płomienie i Dossenaua ocalić. Ponieważ nie można się było dostać drzwiami do sypialni, przeto postanowił wtargnąć tam przez okno. Ale nad oknami rozpasały się już kłęby płomieni i dymu; pękają od nich szyby, zapalać się zaczynają ramy okien. Wolfgang porywa drabinę, przystawia do okna i woła:

— Chodźcie za mną, kto w Boga wierzy.

Ale nikt się iść nie odważył; wszyscy stali zdrętwieni, w tem nagle, jakby wyrósł z ziemi, zjawia się Barlow. Wyglądał jak widmo. Bez kapelusza na głowie, włos rozmierzwiony, oczy w głąb zapadłe, krwią nabiegłe, twarz trupio blada, siwa broda rozczochrana, wąs rozstrzępiony.

— Łotry, tchórze — krzyknął takim głosem, że przenikał nawskróś. To ten, co żywił wasze żony i dzieci, ma teraz marnie zginąć w płomieniach? Pozwolicie umrzeć człowiekowi, co bywał zawsze dobroczyńcą całej okolicy? Kto człowiek nie zwierzę, kto w Boga wierzy, pójdzie za mną!

I rzucił się starzec na drabinę, za nim Wolfgang i trzech najdzielniejszych chłopaków ze wsi. Silnemi uderzeniami pięści wyłamał Barlow okno sypialni pierwszego piętra i pierwszy wpadł do niej. Ale tam już pożar pochłonął sufit i dymem i wężami płomieni szalał po całej przestrzeni. Dym wyżerał oczy, płomień lizał odzienie, ale dzielni ludzie wśród tych kłębów dymu idą nieustraszeni, porwani przykładem Barlowa.

Nie widzą nic, w tem, tuż przed nimi, wali się ze strasznym łoskotem belka ze sufitu, i spadłszy rozbija z siebie tysiące iskier, padających przybyłym na twarz, na odzienie. Przez kawał zwalonego sufitu przewiał prąd powietrza i wyparł kłęby dymu poza okna.

Teraz można było ogarnąć okiem sypialnię. Widzą łóżko Dossenaua, przywalone do połowy tą belką, co spadła ze sufitu. Na łóżku leży Dossenau oczerniały od dymu, nieruchomy, jakby martwy. Belka przywaliła mu nogi; na szczęście nie dotknęła ni głowy, ni piersi. Podnoszą iskrzącą się belkę, biorą na ręce nieszczęśliwego i znoszą przez okno po drabinie, poparzeni, czarni, pełni przerażenia, ale szczęśliwi, że ocalili życie człowieka, co był dobroczyńcą wszystkich.

Pożar wzmagał się coraz gwałtowniej i mimo wszelkich wysileń miejscowej straży pożarnej i licznej gromady wieśniaków, co przybyli z pomocą, zamku ocalić nie było można. Ciężko rannego Dossenaua, omdlałego, nie mogącego odzyskać przytomności, ułożono na materacach, i tak niesiono do pałacu.

Barlow i Wolfgang szli obok chorego, nic nie mówiąc do siebie. Nagle chwycił Barlow rękę Dossenaua, do ust ją przycisnął, łzy mu z oczu pociekły i odezwał się cicho do Wolfganga:

— Jesteś pan uczciwym człowiekiem, ufam ci; opiekuj się Heleną, niech mnie nie przeklina! Stało się wreszcie to, co stać się musiało, ale ja tu już niepotrzebny, ja tu już zostać nie mogę. Powierzam panu wobec Boga, co jest nad nami, jedyne dziecko moje.

Łzy mu pociekły strumieniem na twarz pobladłą, zbolałą; uścisnął prędko rękę Wolfganga i skoczył w bok, jakby chciał uciekać. Ale Wolfgang pochwycił go silnie za ramię i szepnął mu stanowczo, rozkazująco:

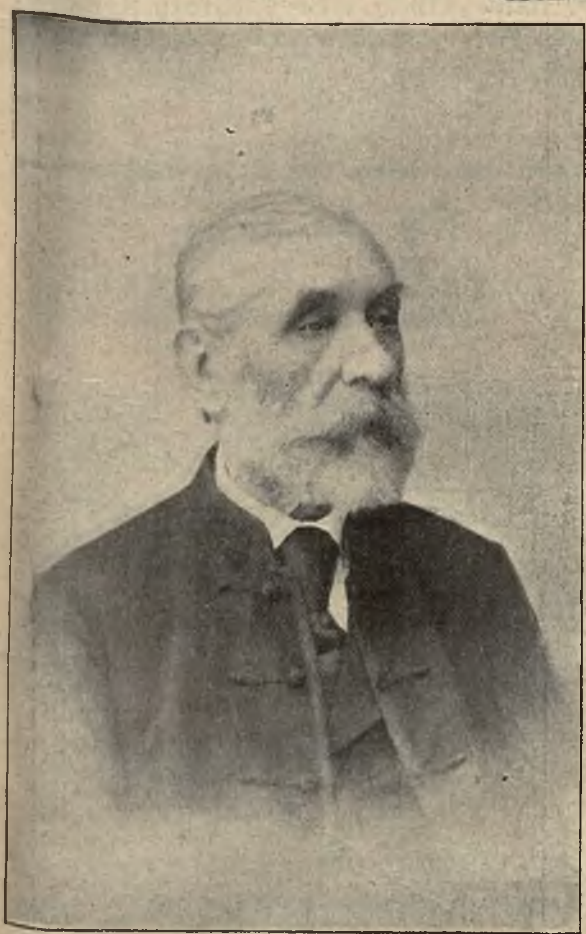
— Ani kroku. Nie puszczę pana, choćbym miał użyć przemocy. Musisz iść przy mnie.

Barlow spojrzał na Wolfganga łagodnie, tkliwie i z rozrzewnieniem zapytał:

— Dlaczego mnie pan zatrzymuje? Pan bardzo podobny do Ericha, bardzo. To dziwne. Ale on był gwałtowny, a pan taki cichy. Niechże mnie pan nie zatrzymuje (C. d. n.).

Śmierć sędziwego przyjaciela oświaty.

W sędziwym wieku, bo przeżywszy lat 83, zmarł zeszłego tygodnia we Lwowie śp. Edward Pietrzycki, emerytowany naczelnik miejskiej Izby obra-



Śmierć sędziwego przyjaciela oświaty: Ś. p. Edward Pietrzycki

chunkowej i gorliwy przyjaciel oświaty. Ś. p. Pietrzycki był osobą znaną w całem mieście, gorliwym zbieraczem książek i właścicielem jednej z największych bibliotek prywatnych i wspaniałej wprost kollekcyi rycin, które zbierał przez całe życie. Jeden z najczynniejszych członków Tow. Szkoły Ludowej, przed kilku laty całą swoją wielką bibliotekę podarował temu Towarzystwu. Wielką zaś kollekcyę rycin ofiarował za życia jeszcze Muzeum miejskiemu we Lwowie.

Urodzony w r. 1825, ukończył szkoły średnie w Stanisławowie, a następnie wydział filozoficzny na uniwersytecie lwowskim. W roku 1848, w roku „wiosny narodów", był czynnym członkiem Gwardyi Narodowej i podczas bombardowania m. Lwowa został ciężko zraniony. Po stłumieniu powstania poświęcił się zawodowi urzędniczemu, służył naprzód w buchalteryi rządowej a następnie prawie 40 lat w buchalteryi miejskiej, gdzie się dosłużył wielce odpowiedzialnego stanowiska: naczelnictwa miejskiej Izby obrachunkowej.

W swoim czasie był jednym z najlepszych teoretyków nauki buchalteryi, a cały szereg wybitnych dziś buchalterów, zajmujących posady w instytucyach rządowych, autonomicznych i prywatnych, zaliczał do swoich uczniów. Jest też autorem kilku cennych dzieł i podręczników do nauki buchalteryi i rachunkowości.

Spokój jego popiołom.

Polska spółka osadnicza.

Kolonizacyę w Ameryce prowadzą przeważnie firmy anglo-amerykańskie i kierują się w tej akcyi wyłącznie własnym interesem. Cierpią na tem interesy narodowe, ponieważ kolonistów, bez względu na ich narodowość, rozrzuca się po wszystkich stanach, tak iż nie mogą oni wytworzyć należycie silnych organizacyi. Aby temu rozprószeniu sił narodowych ile możności zapobiedz i skierować emigracyę polską w jedną okolicę, zawiązała się niedawno w Ameryce, w miejscowości Stevens Point, Stan Wisconsin, polska spółka osadnicza, która wzięła sobie za cel wzmocnienie polskiego osadnictwa w stanach Wisconsin i Michigan.

Inicyatywa do tego wyszła od redakcyi tygodnika „Rolnik", który wydawany od 17 lat w Stevens Point przez braci Worzałłów, a redagowany przez p. J. Modlińskiego, cieszy się ogromnem powodzeniem wśród miejscowych osadników polskich.

Firma „Worzałła i Spółka" wybrała dlatego wspomniane stany jako cel polskiego osadnictwa, ponieważ ziemia tam urodzajna a tania, klimat łagodny, zbyt na produkty rolne zapewniony, komunikacya wyborna, centra przemysłowo-handlowe z silnemi koloniami polskiemi, jak Chicago, Milwauke i Detroit, dość bliskie. Spółka będzie tam organizować zwarte kolonie polskie, nabywając na ten cel wielkie przestrzenie gruntów.

Celem nawiązania stosunków z „starym krajem", wydelegowała Spółka redaktora Modlińskiego do ziem polskich. Po za tą sprawą, sprowadziła



Polska spółka osadnicza: Redaktor »Rolnika«, inicyator »Spółki« i organizator wycieczki amerykańskich Polaków do Europy, J. Modliński.

p. Modlińskiego w nasze strony sprawa przez niego zaprojektowanej gremialnej wycieczki amerykańskich Polaków do Europy dla zwiedzenia ważniejszych miast i pamiątek narodowych. Z tej okazyi zamieszczamy w dzisiejszym numerze jego portret oraz grupę wydawnictwa „Rolnika".



Polska spółka osadnicza: Grono członków redakcyi i wydawnictwa »Rolnika« w Ameryce. 1. Redaktor J. Modliński; 2. Józef Worzałła; 3. Stefan Worzałła; 4. Jan Worzałła, wszyscy trzej wydawcy

Od Redakcyi.

Redaktor naszego pisma p. Stanisław Lipiński wyjechał dla kuracyi na kilkutygodniowy pobyt do Algieru. Redakcyę pisma z dniem dzisiejszym objął p. Zdzisław Tranda, do którego też we wszelkich sprawach redakcyjnych odnosić się prosimy.

Redakcya.

Z tygodnia

Wywłaszczenie stało się faktem. Sejm pruski przyjął ustawę o zabieraniu gwałtem cudzej własności. Pocieszajmy się tem, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło. Prusacy ukuli potężną broń przeciw sobie. Gdyby można przypuścić, że Niemcy będą zawsze potężnem mocarstwem, że im się nigdy noga nie powinie, to barbarzyńskie ich środki wypierania żywiołu polskiego mogłyby przynieść im pożądane rezultaty. Ale chyba nikt znający historyę i obdarzony zdrowym rozsądkiem, na przypuszczenie takie się nie zdobędzie. Każde państwo ma chwile potęgi i chwile bezsilności, chwile rozwoju i upadku. Nie cofając się już w czasy starożytne ani średniowieczne, za czasów nam bliskich widzieliśmy tyle zmian, takie haussy i baissy państwowe, że i te nam wystarczą, abyśmy mieli dostatecznie wyrobione przekonanie, że na każdego Matyska przyjdzie kréska. Jeszcze przed dwustu laty Szwecya dyktowała prawa całej północnej Europie, a kto ją dziś bierze w rachubę? Gdzie się podziała potęga Turcyi i Hiszpanii? Sto lat temu cała Europa była wasalem Francyi — dziś śladu po tem nie pozostało. A czy za naszych dni nie widzieliśmy potęg padających prawie w gruzy? Nawet wszechpotężna Anglia zachwiała się w swych posadach przez wojnę boerską — dość było wmięszania się kogoś „trzeciego“, a byłoby skończyło się jej częściowe panowanie nad światem. Niemcy zawdzięczają swą siłę i powodzenie nietyle sobie, ile zawiści i sprzecznym interesom innych mocarstw; niech się zmieni nieco ich stosunek do siebie, niech nastąpi między nimi porozumienie, niech znajdą sobie inny przepis na „równowagę“ europejską, a państwu miłości Bożej i homoseksualistów będzie grozić jeżeli nie zagłada, to w każdym razie powrót do tych tak niedawnych czasów, kiedy z jegomością królem pruskim niewiele robiono sobie subjekcyi. A wówczas przyjdzie kara za grzechy, wówczas ta broń, jakiej Prusacy dziś używają, przeciw nim się zwróci. Nauka ich w las nie pójdzie; znajdą się tacy, co pójdą za ich przykładem i zasadę wywłaszczenia przeciw nim skierują. Może już za lat kilkadziesiąt usłyszą oni tu i ówdzie: wynoście się precz, bo racya stanu tego wymaga! I będą biadali, będą się skarżyli na gwałt i przemoc, będą odwoływali się do praw boskich i ludzkich, ale usłyszą krótką odpowiedź: *tu l'a voulu George Doudin.* I nie wzbudzą w nikim litości, bo w tym wypadku każdy przyzna, że będą sami kowalami swego losu. Co więcej wywłaszczanie ich na razie nie będzie wywłaszczeniem, ale odwłaszczaniem, wypierać się ich będzie nie z siedzib własnych, ale z siedzib cudzych; nikt nie zabierze ich dobra, lecz każdy odbierze dobro własne, przez nich zrabowane. Dziś oni mówią: oddaj, co twoje! — a im się będzie mówiło: oddaj, co cudze! I dopiero kiedy z tem się „zrobi porządek“, może ktoś zechce pójść dalej i zacznie się dobierać do ich rzeczywistej własności. I tu dopiero byłaby kara za zbrodnię, tu właściwie dopiero miałoby się prawo powiedzieć: zbieracie owoce ze swego posiewu.

Że to kiedyś nastąpi, nie ulega żadnej wątpliwości. Dlatego też małodusznym, co rozprawiają o niechybnej naszej zagładzie, radzę poradzić się historyi i rozsądku. Niewątpliwie zadano nam cios silny, niewątpliwie na razie poniesiemy pewne straty, ale karta prędzej czy później się odwróci, bo tak zawsze było i będzie, dopóki nie nastanie to, o czem marzą zawsze umysły szlachetne, a o czem świeżo znów wspomniał Flammarion w ankiecie Sienkiewiczowskiej, tj. dopóki Europa nie zamieni się w Stany Zjednoczone.

Ale zanim się to stanie, zobaczmy co się dzieje w naszych galicyjskich Stanach niezjednoczonych. Ubiegły tydzień przyniósł nową niespodziankę: demokraci narodowi wystąpili z Rady narodowej. A pamiętacie zapewne, jak przed rokiem ciż demokraci nazywali świętym obowiązkiem należeć do owej Rady, a nienależących stawiali na równi ze zdrajcami. Wogóle zdaje się, że w przeciągu ostatniego roku pozostali wierni swym zasadom tylko ci, co nie mieli żadnych zasad.

Ba! Wierność zasadom to nie taka łatwa rzecz, jak kto sobie myśli. Przekonała się o tem rozgłośna p. Iza Moszczeńska. Przez kilka lat z rzędu poruszała niebo i ziemię, aby wyzwolić dzieci z pod opieki rodziców. Rodzice według niej powinni dawać dzieciom utrzymanie, a nie wtrącać się do ich światopoglądów. Zbrodnią jest zabijać w dziecku indywidualizm — wołała wielka reformatorka, a p. Niemojewski wzywał dzieci, aby nie słuchały rodziców, tych największych swoich wrogów. Tymczasem zdarzyło się, że obecnie w Warszawie jakaś 16-letnia Wiederszalówna, zakochawszy się w chrześcijaninie, postanowiła się ochrzcić i w tym celu udała się pod opiekę zakonnic w Wilanowie. Co to jest? co to ma być? — woła pani Moszczeńska w artykule „Prawa rodziców“. I wzięli dyabli zasady, kiedy poszło o... chrzest żydówki. Gdyby tak np. chrześcijanka, zakochana w żydzie, przeszła na judaizm, to p. Moszczeńska pewnie zachwyciłaby się tem lekceważeniem przesądów i silnym indywidualizmem. Dałaby ona rodzicom, którzyby śmieli ograniczać prawa „człowieka!“

Rzadko o takiego patryotę jak mój golarz. Aż serce rośnie, kiedy go się słyszy wymyślającego na Niemców. Zapomina wówczas najczęściej, że mam brodawkę na lewym policzku — i szast! krew się leje z mojej brodawki. Ale nie gniewam się na niego, bo wiem, że to uczynił ze szczerej miłości ojczyzny, pod wpływem oburzenia na jej wrogów.

Kiedyś przychodzę do niego i widzę, że dwu jegomościów poddaje się operacyi strzyżenia włosów, dwaj drudzy używają rozkoszy mydlenia brody, a trzech pokornie na swoją kolej oczekuje. Chciałem się cofnąć i pójść do innego brzytwowładcy, ale wstrzymało mnie zapewnienie: „zaraz, zaraz, panie dobrodzieju, za chwilkę, za minutę będzie miejsce wolne...“

Uwierzyłem — lubo golarzowi pod tym względem nigdy wierzyć nie należy — i usiadłem na podsuniętem mi krzesełku.

Minuta trwała naturalnie 25 minut, bo trzej oczekujący mieli przedemną pierwszeństwo, a jeden z tych panów, którego zastałem przy strzyżeniu, kazał sobie naprzód myć głowę i chustką ją zawiązać, aby się włosy ułożyły; potem kazał sobie wyciągać wąsy żelazkiem, brodę w „szpic“ przystrzygać, brwi przyciemniać, włosy z uszu wycinać i ciągle coś poprawiać. Widocznie szedł na połów serca niewieściego.

Mając sporo wolnego czasu wziąłem się do przeglądania pism i dzienników. Było ich sześć: jeden dziennik polityczny krakowski, *Bocian, Tagblatt, Pschütt, Das interessante Blatt* i *Fliegende Blätter*. Dwa polskie, cztery niemieckie.

W chwili kiedy sam właściciel razury (los mi to szczęście zdarzył) przystąpił do zabiegów około uszlachetnienia mego oblicza, zapytałem go dyplomatycznie:

— Czy dużo masz pan niemieckiej klienteli?

— Niewiele — odpowiedział — trochę urzędników kolejowych, kilkunastu oficerów, parę osób prywatnych...

— Ilu więc tak na dzień być ich może?

— Ośmiu, dziesięciu...

— A wogóle ile osób u pana przez dzień się przewinie?

— Będzie około setki, może sto dwadzieścia...

— W takim razie Niemcy stanowią conajwyżej dziesiątą część pańskiej klienteli?

— Tak.

— Dlaczego więc pan prenumerujesz dwa pisma polskie, a cztery niemieckie?

Rycerz brzytwy pytaniem tem tak został zaskoczony, że, co się u golarzy prawie nigdy nie zdarza, zapomniał języka w gębie. Po chwili dopiero oprzytomniał i rzekł poważnie:

— Bo, proszę pana, Niemcy żądają pism niemieckich, a i nasi chętnie je czytają.

— A „nasi“ więcej polskich nie żądają?

— Nie zdarzyło mi się. Pierwszy pan dobrodziej zwrócił na to uwagę.

Interwiew skończył się, ale dostrzegłem, że mój patryota był srodze podrażniony — i przez zemstę czy też nieuwagę dwa razy mnie skaleczył.

Odtąd będę się golił u mniejszego patryoty.

Przekora.

Konglomeratem dziwnym
Charakter jest kobiety,
Mieszają się w nim dobre,
Jak również złe zalety.

A ja skonstatowałem
Po dziś dzień — do tej pory,
Że główną, złą zaletą
Jest u niej — duch przekory.

Choć w duszy racyę przyzna
To nie ma nic do rzeczy,
Najoczywistszą prawdę
Z zasady ci zaprzeczy.

Lecz są wyjątki: Powiedz
Najbrzydszej, że jest ładna,
A jestem przekonany,
Że nie zaprzeczy żadna!

Lecz wracam do powieści,
Co prawdy tej dowiedzie —
Małżeńskie młode stadło
Siedziało przy obiedzie.

Mąż — talerz swój odsunął
I rzecze tak do żony:
— Ach! wybacz moja droga,
Lecz kotlet — jest spalony!“

— „Co? — krzyknie połowica,
Wzburzona temi słowy —
Czy ty już smak straciłeś?
Wszak kotlet jest — surowy!“

— Nie! — mówi mąż — spalony!
— Surowy! — krzyczy żona —
Surowy! — mówię panu
I nikt mnie nie przekona!

I choć na zdanie żonki
Już mąż się zgadzać zdawał,
Połknęła z irytacyi
Spornego mięsa kawał!...

Lecz gniew i irytacya
Doradcą kiepskim bywa,
Kęs stanął jej w przełyku
I padła jak nieżywa.

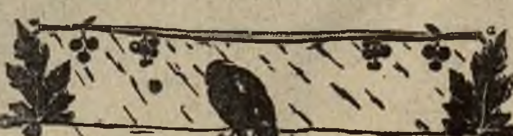
Doktorów do niej woła
Małżonek zrozpaczony,
Lecz żaden nie potrafił
Przywrócić życia żony.

Aż wreszcie myśl szczęśliwa
Przychodzi mu do głowy
— Spalony! — woła głośno,
Spalony nie surowy!

Umarła — z łoża śmierci
Skoczyła zuchowato
I krzyczy: „Był surowy!
I dam swą szyję za to!“

Więc: Czego nie zdziałały
Apteki i doktory
Powrócił znowu życie
Kobiecie — duch przekory!...

Kruk.



Międzynarodowy konkurs łyżwiarski w Warszawie.

Na doskonałym torze łyżwiarskim w Dolinie Szwajcarskiej w Warszawie, rozegrano w ubiegłą niedzielę międzynarodowy konkurs łyżwiarski, do którego zgłosił się zastęp doskonałych sportowców z Warszawy, Petersburga, Lwowa i Wiednia. Sąd konkursowy stanowiła komisya, złożona z pp. L. Fannera, delegata wiedeńskiego tow. łyżwiarskiego „Cottage", St. Ulenieckiego, członka lwowskiego tow. łyżwiarskiego, Piotra Weryhy, kapitana W. T. Ł. oraz K. Bovensego i Z. Nowakowskiego, także z Warszawy.

Wobec odwilży, która w dniu konkursu panowała, zdawało się, iż zawody nie dojdą do skutku.



Międzynarodowy konkurs łyżwiarski w Warszawie
Goście ze Lwowa, pp. Przedżymirski, Wróbel i Uleniecki.

Dopiero w ostatniej chwili komisya organizacyjna zdecydowała się mimo fatalnej aury konkurs przeprowadzić. Spóźnione ogłoszenie jednak spowodowało, iż publiczność stawiła się na te zajmujące i piękne zapasy w bardzo nielicznym komplecie.

Pierwszy punkt programu obejmował konkurs w jeździe sztucznej, a odznaczyli się tu pp.: T. Datlin i K. Ollo, obaj z Petersburga, oraz pp. Wróbel ze Lwowa i Z. Goebel z Warszawy. Im też przyznała komisya nagrody.

Następnie rozegrano konkurs o „mistrzostwo Europy" w stucznej jeździe. Punkt ten obejmował prócz figur obowiązkowych, także precyzyjną jazdę dowolną, był też niezmiernie interesującym, zwłaszcza że biorący w tym konkursie udział łyżwiarze, doprowadzili sztukę ślizgania się do nadzwyczajnej doskonałości. Ewolucye, piruety, tańce najrozmaitsze wykonywali bardzo zręcznie, lekko i z bajeczną miękkością ruchów. Szczególniej odznaczył się w tym konkursie p. Hertz z Wiednia i on też uzyskał tytuł „mistrza" na rok 1908 obok honorowej nagrody. Drugą nagrodę przyznano p. Paninowi z Petersburga, trzecią zaś p. H. Przedżymirskiemu ze Lwowa.

Lwów tedy spisał się — jak na początek — bardzo dzielnie, a jego przedstawiciele wykazali, iż sport łyżwiarski, uprawiany umiejętnie wśród członków tamtejszego towarzystwa łyżwiarskiego, rozwija się coraz piękniej.



Międzynarodowy konkurs łyżwiarski w Warszawie: Członkowie sądu konkursowego, z »mistrzem« na rok 1908 p. Hertzem z Wiednia w pośrodku.



Następca tronu jako sportowiec: Arcyksiążę Franciszek Ferdynand (X) w chwili wyjazdu z St. Moritz w okolicę.

Następca tronu jako sportowiec.

W uroczej miejscowości St. Moritz, znanej stacyi klimatycznej szwajcarskiej, gdzie corocznie w zimie gromadzi się mnóstwo arystokracyi międzynarodowej, ruch sportowy rozwija się wspaniale. Saneczkowanie, łyżwiarstwo, narty itd., oto najważniejsze rodzaje zabaw, jakim z zapałem oddaje się nietylko młodzież, ale i poważne panie i panowie.

Grono sportowców jest w St. Moritz bardzo wytworne, prawie wyłącznie osoby zdomów panujących, lub conajmniej blisko z nimi spokrewnione. Zwyczajny śmiertelnik niema do tego zamkniętego kółka przystępu.

Między innymi spędził tam niedawno kilka dni następca tronu austryackiego, arcyksiążę Ferdynand d'Este. — Dla zwiedzenia prześlicznej tamtejszej okolicy alpejskiej, wybierał się następca tronu codziennie saneczkami w góry, skąd roztacza się czarowny, upajający widok.

Jeleń w zaprzęgu.

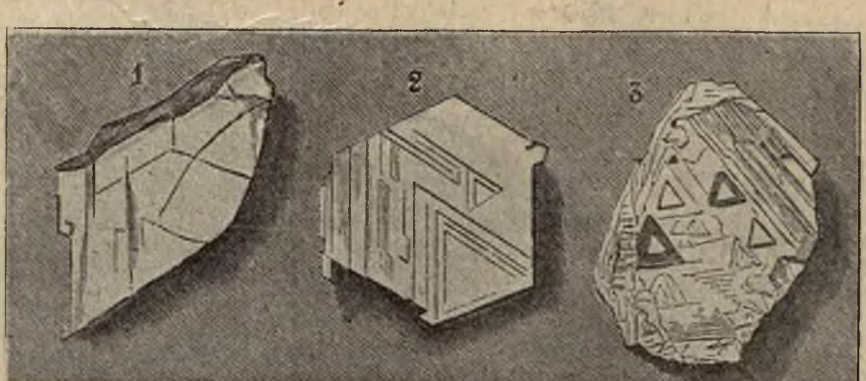
(Do illustracyi na stronie 8).

Dowód wielkiej cierpliwości i umiejętności tresowania zwierząt złożył pewien gospodarz wiejski w Bawaryi. Złowiwszy mianowicie w lesie młodego jelenia, zwierzę, jak wiadomo, jedno z najbardziej lękliwych, potrafił go oswoić i zamienić w pożyteczne zwierzę domowe.

Oswojony ten jeleń przywykł nie tylko do towarzystwa ludzkiego, nie tylko je chętnie cukier z ręki swego pana i jego rodziny, ale dał się użyć jako doskonała siła pociągowa. Zaprzężony do lekkich sanek, wozi swego pana w odległe nawet

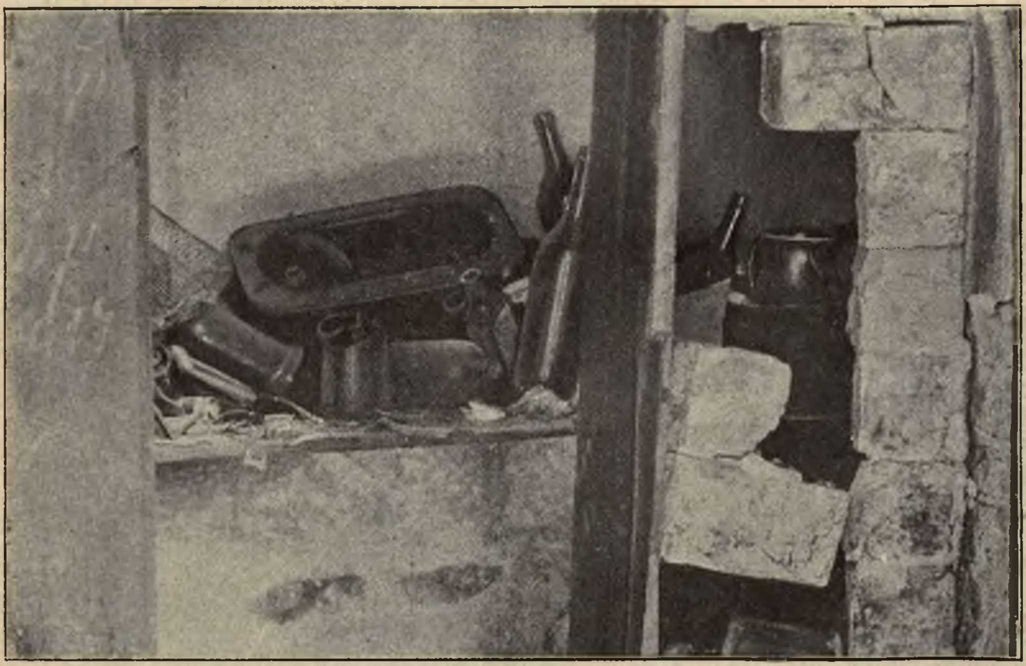


»Dyamentowa« afera: Rzekomy wynalazca sztucznych dyamentów, inżynier Lemoine.



»Dyamentowa« afera: 1. i 2. sztuczne dyamenty, sporządzone przez Moissona, w 500-krotnem powiększeniu; 3. Dyament prawdziwy, w 300-krotnem powiększeniu.

strony; oryginalny ten zaprzęg wywołuje oczywiście w całej okolicy wielką sensacyę, z czego właściciel oswojonego jelenia jest niezmiernie dumny.



Wybuch bomby w Warszawie: Strzaskane skutkiem wybuchu drzwi komórki i jej wnętrze.

„Dyamentowa“ afera.

Niezwykłą sensacyę wywołuje obecnie w Paryżu sprawa „dyamentowa“ inżyniera Lemoine'a, który zdołał wyłudzić od prezesa największego na świecie towarzystwa kopalni dyamentów, londyńskiego milionera Wernhera, milion sześćset tysięcy franków.

Przed kilku laty słynnemu chemikowi Moissanowi udało się uzyskać za pomocą fabrykacyi sztuczne dyamenty, nie przewyższające jednak wielkością swą maleńkich ziarnek piasku. Inżynier Lemoine postanowił „ulepszyć“ ten wynalazek w ten sposób, aby ciągnąć z niego znaczne korzyści. Mniemane więc swoje prace pokrywał tajemniczością, zaproszonym zaś gościom pokazywał tylko wytworzone rzekomo przez siebie dyamenty, które jednak były w rzeczywistości prawdziwymi a nabytymi poprzednio w różnych magazynach. Na lep tego wielkiego wynalazku dał się wziąć i milioner Wernher, zainteresowany szczególniej temi pracami, z chwilą bowiem wytworzenia sztucznych dyamentów, ceny rzeczywistych musiałyby spaść znacznie.

Lemoine pracował początkowo w Paryżu, potem jednak, otrzymawszy fundusze od swego protektora, zbudował fabrykę w Pirenejach „udoskonalał“ ciągle swój wynalazek. Trwałoby to było jeszcze dłuższy czas, pan Lemoine w dalszym ciągu żyłby dostatnio, lecz ofiarność mecenasa poczęła się wyczerpywać, aż wreszcie zażądał on zwrotu wyłożonych pieniędzy, lub dania niezbitego dowodu tego wynalazku, tj. opisu samej fabrykacyi. Za odstąpienie tajemnicy wynalazku ofiarował wynalazcy dodatkowo czterysta tysięcy franków, tak iż cała suma wynosiłaby dwa miliony franków. P. Lemoine nie zgodził się na to, w następstwie czego sprawa oparła się o sąd, który zarządził jego aresztowanie. Sprawa ta nie nabrałaby takiego rozgłosu, gdyby nie różnnica zapatrywań uczonych, bo między nimi znajdują się i tacy, którzy wierzą zupełnie w prawdziwość fabrykacyi Lemoine'a. „Afera dyamentowa“ stanowi stąd temat szerokich dyskusyi i zaciekawienia ogólnego.

Wybuch bomby w Warszawie

Bomba, ta straszna broń rewolucyonistów, broń, której używano dawniej tylko wyjątkowo, w wypadkach doniosłych, dziś spowszedniała w Warszawie i służy bardzo często do celów zemsty prywatnej, lub osobistych rachunków. Taki charakter miał też ostatni wybuch w Warszawie, przy ulicy Pańskiej.

Krwawy wypadek, jaki tam zaszedł przed paru dniami, był echem walki, toczącej się między pracownikami krawieckimi, żądającymi prowadzenia przy magazynach z ubiorami i warsztatów krawieckich a między tzw. „chałupnictwem“. W jednym z domów mianowicie przy wspomnianej ulicy mieszkał krawiec Aron Rubinstein, który wraz z trzema czeladnikami szył w domu swoim ubrania do magazynów i stąd był przez przeciwników takiego „chałupnictwa“ nielubianym. I oto w ubiegły piątek wieczorem nieznany sprawca podłożył pod drzwi mieszkania Rubinsteina bombę lontową, która wybuchła z ogromną siłą, szerząc wokół wielkie zniszczenie, a jeszcze większą panikę i przerażenie wśród mieszkańców domu.

Od wybuchu bomby zostały powyrywane drzwi wszystkich mieszkań na tem piętrze, najbliższe zaś, przedewszystkiem od mieszkania Rubinsteina, zostały literalnie roztrzaskane na drobne kawałki. To samo stało się z szybami w oknach, uległy też uszkodzeniu ściany w całym domu i częściowo sklepienie. Z ludzi zaś, którzy byli w chwili wybuchu w domu, tylko żona Rubinsteina odniosła dotkliwe rany w nogi i ręce.

Policya, zawiadomiona o zamachu, przeprowadziła na miejscu rewizyę, w czasie której aresztowano 5 mężczyzn, niemeldowanych w tym domu. Jeden z nich jest poszlakowany o udział w zbrodniczym zamachu.

„Poddani“ króla włamywaczy.

Bardzo sumienne i z całą energią przez lwowską policyę prowadzone śledztwo w sensacyjnej sprawie szajki włamywaczy, firmy Wasiński i spółka, odsłoniło sporo interesujących szczegółów, odnoszących się do tajemniczej dotąd przeszłości bohatera tej sensacyi, Wasińskiego. Okazało się przedewszystkiem, że istotne nazwisko jego brzmi Śniegucki, że zawód swój rozpoczął on już przed paru laty w Królestwie, gdzie za udział w bandyckim napadzie został skazany na trzy lata katorgi. Udało mu się stamtąd umknąć i „rzemiosło“ swe prowadzić w Galicyi szczęśliwie przez długi czas. Wyjaśniła się też tajemnicza ucieczka jego, w towarzystwie Schwarzera i Szyptura, z murów więzienia lwowskiego. Nie była ona zbyt skombinowaną, ani trudną. Poprostu jeden z dozorców, nazwiskiem Walocha, przekupiony przez członków bandy, wypuścił całą trójkę przez bramę więzienia. Dziś ten „dobrodziej złodziei“ dzieli los Wasińskiego-Snieguckiego i jego „poddanych“.

Liczba ich wzrosła znowu, w ręce policyi bowiem wpadli dwaj jeszcze członkowie bandy, młodzi czeladnicy Schwetlich i Michalski. Pierwiastek artystyczny reprezentuje w tej godnej kompanii członek trupy teatru ruskiego, Kostur, który po za aktorstwem uprawiał złodziejstwo i to z większym nawet talentem.



Wybuch bomby w Warszawie: Ranna skutkiem wybuchu bomby Rubinsteinowa z trojgiem dzieci.

„Poddani“ króla włamywaczy.



Teofil Schwetlich.



Stanisław Walocha.



Wiktor Michalski.

Teodor Roland.



Teodor Roland.

Scena warszawska posiada w gronie swoich artystów sporo sił niepospolicie utalentowanych, sił bardzo zdolnych i pożytecznych. Nie mówimy tu o weteranach polskiej sceny, o artystach jubilatach, którzy tak wysoko dźwignęli sztandar sztuki polskiej, ale o zastępie młodych artystów, którzy choć od niedawna pracują w królestwie Melpomeny, potrafili już sobie wyrobić imię znane i cenione.

Do nich należy jako jeden z najtęższych, Teodor Roland. Znany on jest także i publiczności krakowskiej, bo na scenie tutejszej stawiał pierwsze kroki pod rodzinnem nazwiskiem swojem Konopki. Już w pierwszych występach zapowiadał wybitny talent, ktory też pomyślnie się rozwijał w rolach amantów dramatycznych i lirycznych. Szczególniej piękny głos, doskonała wymowa, zapał i przejęcie zalecały bardzo młodego artystę i jednały mu zawsze sympatyę.

Po kilku latach pobytu w Krakowie, przeniósł się p. Roland do Warszawy i zajął tam odrazu stanowisko pierwszorzędne, ujmując publiczność warszawską temi samemi zaletami, które go w Krakowie wyróżniały. Ma piękne, niemal niezrównane role, jak n. p. „Mazepa“ Słowackiego, wybornie gra studenta „W sieci“ Kisielewskiego i wiele innych; wogóle charaktery z temperamentem, przepojone uczuciem, oddaje zawsze szlachetnie i artystycznie. I nie tylko w dramatycznych rolach zdobywa powodzenie; talent swój nagina szczęśliwie i w komedyach — czego dowodem „Mąż z grzeczności“ Abrahamowicza i Ruszkowskiego, odegrany wzorowo. Toż samo powiedzieć trzeba o jego rolach charakterystycznych, n. p. Nika w „Maryi Stuart“ Słowackiego, Maciusia w „Zaczarowanem Kole“ Rydla, Niunka w „Dramacie Kaliny“ i innych. We wszystkich tych kreacyach rozwija młody artysta cały zasób bogatego talentu, dając publiczności typy szczere, pełne życia, ujmujące uczuciem i temperamentem.

Są to wszystko zalety niepowszednie, znamionujące talent pierwszorzędny i zapowiadające młodemu artyście przyszłość jak najpiękniejszą. Już dziś p. Roland zajmuje pośród grona artystów sceny warszawskiej wybitne stanowisko, ciesząc się zawsze uznaniem publiczności i krytyki. Uznanie to będzie p. Rolandowi towarzyszyło niewątpliwie i w dalszej karyerze artystycznej, na co w zupełności zasługuje.

Z lwowskiego bruku.

(Nieco z lwowskiej chemii. — Trzy muzy. — Potop muzyczny. — Muzykalny Lwów. — Wizyta w Filharmonii. — Karnawał nożny i wyborczy).

Życie Lwowa, wlane do tygodniowej retorty wypadków, układa się to w warstwy różnorodnych zdarzeń rozmaicie zabarwionych i oddzielonych od siebie — to znów zlewa się w jeden rozczyn jednolity, który dopiero sól jakaś zdolna zanalizować i rozłożyć. Żyjemy więc albo od wypadku do wypadku, jaki stwarza kaprys losu — i które pływają jak uszka po barszczu mej kroniki — lub pod wezwaniem jakiegoś ogólnego, naczelnego nastroju, zabarwiającego „lwowski tydzień“.

Gdyby chodziło o wywieszenie takiego sztandaru na czele dzisiejszego sprawozdania o zachowaniu się stolicy w dniach ostatnich — musiałaby to być trójkolorowa flaga muzyczno-karnawałowo-wyborcza. Formalny zalew koncertów, wieczorów muzycznych, produkcyi (nie wliczając w to stałego sezonu operowego w teatrze) — grozi nam zatopieniem w skrzypcach, fortepianach, orkiestrach i chórach. O, bo Lwów jest bardzo a bardzo muzykalnem miastem! I gdy pod innymi względami stolica nasza często ustąpić musi w szary kątcik przed Krakowem, czasem nawet przed pogardzaną... prowincyą — to przecie zawsze wtedy z uśmiechem dumy na ustach zwykliśmy się chwalić:

— Nooo... tak, bezsprzecznie... nie mamy może tak kulturalnej i wyrobionej publiczności teatralnej, jaką poszczycić się może Kraków — tu i ówdzie może grzeszymy pewnem dorobkiewiczostwem ale — mamy bardzo muzykalną, powiedziałbym nawet: zamiłowaną w muzyce publiczność...

— Proszę pana — odezwie się wtedy oponent, nie uznający autorytetu Lwowa w tych sprawach — a cóż było przed czterema laty z Filharmonią?

— Eee... kochany panie! To nie było dla nas.. Może zawczesne... Zresztą orkiestra!? Kto się u nas zna na orkiestrze? Ale niechno do nas przyjedzie jaki solista, jaki skrzypek czy skrzypaczka — spójrz pan wtedy na salę koncertową! Sama śmietanka Lwowa!

I rzeczywiście rozlewa się ta śmietanka Lwowa po wszystkich aksamitnych fotelach filharmonii, czy krzesłach Narodnego Domu, Sokoła, Kasyna itd. itd. W dniach ostatnich wszystkie te sale były przepełnione... koncertantami — bo publiczność musiała się rozdzielić proporcyonalnie do atrakcyi. Alberti, Bel Sorel, Sołłohubówna, Huberman, Trzaska, Singer, Lutnia, Koło muzyczne (towarzystwo prosto „z igły“)... Cały Lwów śpiewa, gra, dyryguje, stroi — myślałby kto, że poza muzyką nie znamy i nie widzimy życia... Ale wpuśćmy kroplę takiego analizującego rozczynu w koncertową retortę. Np. koncert Hubermana, filharmonia. Amfiteatr przepełniony, stroje, panie, brylanty, smokingi, panie, jeszcze raz panie... Cały muzykalny Lwów, Artysta, burza oklasków.

— A któryj to? Ten cienki, „cy“ ten gruby?

— Ta nie widzi mama, ten — że ma skrzypce.

— Czy to prawda, że one kosztowali 50.000 guldenów?

— Abo ja wim — pewno, że kosztowali.

— A może un tylko tak podpuszcza jura?

— Cicho, bo zaczynają.

Wytężone wszystkie... lornetki. Przejdźmy z fotelów do loży, tylko cicho, by nie spłoszyć rozmowy dwu wielbicielek koncertanta:

— Hm, ale zeszczuplał!

— Zdaje ci się tylko. Taki sam był przed rokiem.

— Ale...

Tu dama nachyla się do uszu towarzyszki, więc nie zdołamy podsłuchać.

— Myślisz? Muszę zobaczyć.

I przykłada lornetkę do ciemnych, błękitnych oczu.

— Rzeczywiście...

Srebrny, dźwięczny, choć stłumiony chichot.

Balkon. Para małżonków, może narzeczonych. Zadowoleni, że przynajmniej teraz nie muszą rozmawiać. Robią przejęte i natchnione miny. Pewnie! Sonata kreutzerowska, więc „wypada“ słuchać. Tuż obok obwieszona brylantami pani mecenasowa (specyalny gatunek muzykalności). Mąż obok dyskretnie ziewa, żona jest już, już wniebowzięta.

— Joj, joj, słuchaj Maurycy, jak on teraz ciągnie... Miód.

Ale pan Maurycy myśli teraz albo o klientach, albo o wieczornym „wonoku“, albo zgoła o niczem.

Burza oklasków. Entuzyazm. To samo w waryacyach podczas następnych punktów programu.

Pauza. Pani Maurycowa konstatuje, że są wszystkie znajome i przyjaciółki.

— A widzisz, jest Matylda. Dobrze, żeśmy poszli. Coby byli powiedzieli?

Pauza się nieco przydłuża. Pan Maurycy zlornetował loże, wrócił z „papierosa“ i ziewa.

— Mogliby puścić w antrakcie kinematograf *).

— Maurycy cicho. Jeszcze kto usłyszy.

O! bo Lwów jest bardzo, bardzo muzykalny... Na przyszły tydzień znów zapowiedziano furę produkcyj.

I Terpsychore zaczyna powoli wjeżdżać do stolicy i rozkręcać ludziom sprężyny w nogach. Oficyalna fikanina na rozmaite porządne rzeczy rozpocznie się zapewne aż po pierwszym, bo ludziska są wypompowani przez święta — zresztą tegoroczny karnawał długi jak kandydacka mowa, będzie więc czas siedm razy się zaręczyć i rozręczyć, wyfroterować wszystkie sale, zjeść 80 bufetów, zeskontować tuzin nowych weksli, jako że i konjunktura finansowa na wałach jest cośkolwiek pomyślniejsza, zamaskować i zdemaskować się na tuzinie redut, słowem wychylić puhar karnawałowy wraz ze „sznittem“, nie mówiąc o mniejszych kieliszkach i kieliszeczkach.

Tymczasem z za murów lwiego grodu poczyna wyłazić i trzecia opiekuńcza muza mej dzisiejszej kroniki: Hyena wyborcza. I ta nie wydaje jeszcze oficyalnych balów, ale przygotowuje się do większych występów na rozmaitych „kompletach“ i herbatkach przedwyborczych. Wyborcy na takich zamkniętych kółkach przypominają sobie kroki i figury wyborczych kadrylów i galopad, które tańczyli w maju zeszłego roku — tu i ówdzie zmieniają tylko pewne posunięcia za wskazówkami rutynowanych nauczycieli tańców. I tak u państwa Kołtuńskich i Strzelnickich odbywają się lekcye zamarstynowsko-łyczakowskiej polki (...wybory gminne), u państwa Wszechpolskich w Skale i Tow. pedagogicznem cyzelują mazura i poloneza sejmowego.

Z kandydatami jak zwykle: każdy czeka wprzód na kontrkandydata — w ostatnim tygodniu rozbije ich się cała „bania“. Na razie mamy dopiero jedną oficyalną kandydaturę, postawioną przez dziennik, znany z uśmiercania gości żądnych mandatu — niechże mu więc ziemia będzie lekką, jako i tym prawdziwym nieboszczykom, których klepsydry drukuje ów dziennik w inseratach...

Tańczymy więc na razie w kółkach zamkniętych i przygotowujemy się do balu — wprzód u pana marszałka, a później w ratuszu...

Jerzy Gips.

*) W dnie niekoncertowe odbywają się w Filharmonii przedstawienia kinematografu.



Trafiła kosa na kamień.

Powieść na tle aktów policyi paryskiej, napisał W. K.

9 Ciąg dalszy.

— Nie powiem, bo nie wiem. Mnie się zdaje, że ona ma niedobrze w głowie. Przy niej jest moja siostra, ale ona do mej siostry jeszcze słowa nie przemówiła.

— Zarobisz tysiąc franków, jeżeli mi pomożesz i dowiesz się w jakikolwiek sposób, jak się nazywa.

— Panie komisarzu, żebyś mi pan głowę uciął, to nie wiem co to za panna. Wejdźcież panowie. Uradzimy się jakoś. Może ta panna tylko do mnie i do mej siostry niema zaufania, a przed panem może się rozgada.

Skrzypnęły zasuwy, drzwi się rozwarły, Guttman z ogrodnikiem weszli do ponurej, brudnej, licho oświetlonej sionki.

VII.

Rozstrojony, zmęczony, jakby po kilku nieprzespanych nocach, wszedł Jacques do biura prezydenta policyi.

— Czy pan prezydent niema jeszcze jakich wiadomości o mojej siostrze?

— Niestety nie natrafiliśmy jeszcze na żaden ślad, mimo, żeśmy użyli do poszukiwań wszystkich urzędników i agentów. Przeszukało się wszystkie podejrzane zakątki miasta, uwięziło się wiele osób, a jednak cała praca była dotychczas daremna.

— A co pan prezydent sądzi o tej sprawie, jeśli zapytać wolno. Może zdanie pana prezydenta zdołałoby pocieszyć nieszczęśliwych rodziców.

— Jakiś czas sądziłem, że panna Blanc, albo wyjechała za granicę, albo uwięzioną. została, ale w takim razie byłaby niepotrzebną cała ta historya z balkonem, a wątpić nie można, że zawalenie balkonu w ścisłym pozostaje związku ze zniknięciem panny Blanc.

— Wyobrażam sobie, że ów zamach balkonowy spełniono w przypuszczeniu, że ja zginę w nurtach Sekwany. I życie dwóch ludzi padło ofiarą zamachu. Czy zwłok jeszcze nie wyszukano?

— Jeszcze nie i niema w tem nic dziwnego, bo woda tak wezbrana, że silny prąd mógł unieść zwłoki bardzo daleko. Czy pan nie zna tego rybaka, który z ogrodnikiem spadł z balkonu?

— Nie znam go wcale i nigdy nie widziałem.

— Zastanawia mnie, co to za rybak. Przesłuchaliśmy wszystkich, jacy są w Paryżu i żadnego nie brakowało, wszyscy wykazali swoje alibi. Nie ulega wątpliwości, że człowiek, który się za rybaka podawał, rybakiem wcale nie był. Sądząc według tego, jak owego mniemanego rybaka żona ogrodnika opisała, muszę przypuszczać, że to był człowiek przebrany, ale w jakim celu do willi się udał, tego już odgadnąć nie można.

— Pozwalam sobie złożyć do rąk pana prezydenta 50.000 franków, jako nagrodę dodatkową, dla tego, kto wyszuka moją siostrę.

— Każę to natychmiast ogłosić w dziennikach i daj Boże, aby tym razem ogłoszenie było skuteczne.

Jacques pożegnał prezydenta i zaledwie stanął na ulicy, uczuł jakieś osłabienie, zawrót głowy; pot wystąpił mu na czoło.

— Nie wytrzymam dłużej, mówił sam do siebie. Już mnie dławi to wszystko. Nie wiem jaka piekielna siła popycha mnie do zbrodni; doznaję wrażenia, że mnie doktor oczarował, czy opętał. Jakiś głos wewnętrzny odwodzi mnie od złego, ostrzega, a przecież nie mogę mu uledz, chociaż tego pragnę. I staczam się po tej strasznej pochyłości, chociaż na dnie widzę hańbę i więzienie. Nie, nie, nie mogę się shańbić! Przed hańbą ochroni mnie rewolwer. Czemuż o tem zapomniałem? Jedna sekunda, jedno poruszenie sprężyny i już nastąpi spokój i uwolnienie się od tej piekielnej walki z samym z sobą. Ale Mary de la Croix? Czy nie warto żyć dla dla niej, zmienić się dla niej i pokonać w sobie tego demona, co mnie do zbrodni popycha. Czemu ja stałem się nikczemnikiem? To wszystko dlatego, że mnie, przybranemu synowi, tylko milion przeznaczyli. Córce przeznaczyli 98 milionów, a mnie tylko jeden milion. Na cóż jej tyle pieniędzy? Jeżeli mnie przyjęli za syna, to powinni byli majątek do równa podzielić... Jakiż ja podły! Powiadam, że powinni byli równo podzielić! Jakież mam do tego prawo? Więc nie dość, że mnie sierotę wyrwali z nędzy, że mi dali wychowanie i wykształcenie, że mnie otoczyli miłością rodzicielską, że mi dali dobrobyt i stanowisko w świecie, że mi przeznaczyli milion majątku, więc tego wszystkiego mi zamało? Zachciało mi się jeszcze, aby dla mnie własne dziecko skrzywdzili? Ale czy to ja sam ze siebie dobyłem tę podłość? Nie! nie! To ten przeklęty Hergenrötter wmówił to wszystko we mnie. On wmówił we mnie, że kocham się w córce moich dobroczyńców, on rozniecił pragnienie, aby sięgnąć po miliony tego dziewczęcia; on ją uprowadził i trzyma gdzieś w ukryciu, a za to już pół miliona odemnie wyłudził. Wkradł się w moje zaufanie, udawał przyjaciela od serca, omotał mnie, opętał, do wszelkich zbrodni tak demonicznie popychał, że nawet nie wiedziałem kiedy i dlaczego je spełniam. Na sumieniu ciążą mi trzy żywoty ludzkie, a może i czwarty padnie ofiarą, bo żona ogrodnika z rozpaczy za mężem chce sobie życie odebrać. A fałszerstwa popełnione w banku! To ponad siły. Obym tylko zdołał tym nieszczęśliwym rodzicom zwrócić dziecko, a potem umrę. Żebym tylko wiedział, gdzie ją Hergenrötter ukrywa? On mi to musi powiedzieć! Jak mi głowa ciąży, nogi się chwieją...

Zatoczył się, oparł o mur, zebrał ostatek przytomności i krzyknął:

— Dorożka, prędzej. Jedź do pałacu de Blanc.

Dorożkarz pomógł wsiąść zataczającemu się Jacques'owi, wskoczył na kozioł i mruczał:

— A to sobie głowę zapruszył.

VIII.

Mary de la Croix stała się wkrótce ulubieńcem wszystkich w domu bankiera, a urzędnicy bankowi na zabój się w niej rozkochali. Istotnie, była zjawiskiem niezwykłem. Imponującej postawy, z głosem altowym, ubrana zawsze z ogromną dynstynkcyą, przypominała bohaterki sceniczne najpoważniejszych teatrów. Grzeczna, uprzejma, ale poważna przytem, pełna godności obudzała powszechny dla siebie szacunek. Obowiązki sekretarza wykonywała bardzo ściśle, z biura nie wydalała się prawie nigdy, w pracy nie ustawała na chwilę. Jadała razem z państwem de Blanc i czas spędzony przy stole jadalnym, bywał jedynym jej odpoczynkiem.

Państwo de Blanc zasiedli rano do kawy.

— Dlaczego Mary jeszcze niema? — zapytał bankier.

— Kończy jakąś ważną korespondencyę i kazała przeprosić, że przyjdzie dopiero za pół godziny.

— Możemy na nią poczekać. Ta korespondencya pewnie w naszej sprawie. Chciałbym jej tylko oddać jaknajprędzej ten list.

— Ale to prawdziwie cudowne ocalenie — mówiła pani Blanc.

— Zaczynam być zabobonnym i wierzyć w to, że ten Guttman pozostaje pod jakąś szczególną opieką Bożą. W kilku dniach dwa razy uniknął śmierci.

— We mnie też wstąpiła otucha, że za jego staraniem odzyskamy córkę.

— Szczególny list. „Proszę załączony list wręczyć mojej córce. Laquer i ja jesteśmy zdrowi, ale nikt o tem wiedzieć nie powinien. Proszę nie mówić nikomu o tym liście“.

— Kto ten list przyniósł?

— Wyglądał na żebraka, a zgłosił się wprost do mnie, mówiąc służbie, że mnie osobiście chce prosić o protekcyę. Zdaje mi się, że to był jakiś przebrany ajent policyjny.

— Ale co to mogło być stać się z tym balkonem? Kto miał tam dostęp?

— Moja droga, jeżeli tylko odzyskamy dziecko nasze, to już zdajmy resztę na wolę Bożą. Jeżeli Jacques nas zawiódł, jeżeli on odpłacił się nam niewdzięcznością, to niech go Bóg sądzi.

— Dlaczego ty Jacques'a podejrzywasz?

— Trudno opędzić się najczarniejszym myślom, skoro przecież do willi, prócz Jacques'a, nikt nie miał dostępu; więc któż mógł dopuścić się podpiłowania balkonu, lub któż mógł na to dozwolić?

— Straszne to! Obyśmy tylko córkę odzyskali.

Weszła Mary, przywitała się uprzejmie i z wdziękiem zasiadła do stołu. Le Blanc wręczył jej list od ojca. Rozerwała natychmiast kowertę i przeczytała: „Odkryta. Jacques'a najdokładniej śledzić. Milczenie grobowe“.

Przeczytawszy ten list spaliła go Mary w oczach państwa de Blanc.

IX.

Król dziadów bardzo gościnnie przyjmował przybyszów. Zapalił doskonale na kominku, pookrywał Guttmana kocami, a przemoczone suknie przy kominku suszył.

— Takie to mokre — mówił garbus śmiejąc się — jakby pan komisarz z Anglii do Francyi płynął przez kanał.

— Tak mi było pilno do ciebie mój lordzie— żartował Guttman.

— Dziękuję bardzo za ten zaszczyt.

— Kto tu do ciebie tę pannę przyprowadził?

— Nikt jej nie przyprowadził, ona sama przyszła.

— Nie kłam stary, do kroć dyabłów, bo ci tu zaraz kark skręcę.

— Niech mnie piorun trzaśnie, jeśli mówię nieprawdę. W niedzielę przed ośmiu dniami, przyszła tu o jedenastej w nocy, zapukała do okna i zapłaciła mi z góry tysiąc franków za pokój z wiktem i usługą. Za takie pieniądze oddałbym jej nawet cały dom. Ale jej wystarczyła izdebka na poddaszu. Wymyliśmy i wyczyścili tę izdebkę, urządzili jak można było najlepiej, no i panienka sobie mieszka, a moja siostra jej usługuje. Od owego wieczoru już jej nie widziałem. Moja siostra powiada, że to pewnie jaka aktorka, bo przyszła tu do nas w kostyumie teatralnym, a tylko płaszcz miała na sobie narzucony. Nazajutrz po przybyciu kazała sobie ostrzydz włosy i poleciła przynieść sobie ubranie wiejskie, jakie noszą dziewczęta w okolicy Paryża. Do nikogo nic nie mówi i dlatego mi się zdaje, że ma niedobrze w głowie. Co drugi dzień przychodzi do niej doktór, zawsze wieczorem, gdy już zupełnie ciemno. Ma na sobie zawsze długi płaszcz, z wysokim kołnierzem, do góry tak wyłożonym, że twarzy widzieć nie można. Posiedzi u panienki z jaki kwandrans, lub z pół godziny, a potem znowu wychodzi tak zasłoniony, że mu twarzy dopatrzyć nie można. Moja siostra strasznie ciekawa, nieraz się zaczajała, aby go ujrzeć, zanim płaszcz wdzieje, ale się jej to nigdy nie udało. Ja tu przeczuwam coś bardzo złego. Musi to być sprawa nielada jaka, ale mój Boże, cóż mi do tego? Zapłacili dobrze, więc na co mi wtykać nos tam, gdzie nie potrzeba.

— Skąd wiesz, że ten człowiek jest doktorem?

— Panienka powiedziała mojej siostrze.

— Kiedy on tu był ostatnim razem?

— Wczoraj wieczorem.

— A więc przyjdzie znowu jutro?

— Prawdopodobnie.

— Nadstaw uszu mości królu dziadowski i słuchaj dobrze. Musimy jutro podsłuchać najdokładniej całą rozmowę doktora z tą panną. Twoja głowa musi się już o to postarać, aby się wszystko powiodło i ażeby się owa panna niczego nie domyśliła. My tu będziemy przez kilka dni, a przez ten czas nikt o nas wiedzieć nie śmie. Musisz mi też postarać się o zaufanego posłańca. Otrzymasz za to tysiąc franków, jeśli wykonasz wszystko jak najściślej. Jeżelibyś miał chęć jaką zdradziecką, to pamiętaj, że jestem George International i zanim kto na mnie palec podniesie, już trupem leży. Ty o tem wiesz, lord Kniff.

— Czy to pan myśli, panie komisarzu, że ja na stare lata ogłupiałem? Niech pan będzie spokojny; zrobimy wszystko gładziutko.

— A otumań jako tę starą babę, co nas tu do ciebie przyprowadziła, bo ona tam pewnie ciekawa, po co my tu przyszli i co tu robimy.

— I to się zrobi.

* * *

Następnego dnia wieczorem siedzieli na ławeczce Guttman i ogrodnik pod drewnianą ścianą, która dzieliła izdebkę na poddaszu od małej komórki. Była to cienka ściana z desek, zwykłe przepierzenie. W czasie, gdy siostra króla dziadów w izdebce panienki sprzątała, a dziś jakoś bardzo hałaśliwie, wywiercał lord Lonchester grubym świdrem sporą dziurę w ścianie, tak że przez nią można było doskonale do izdebki zaglądać i słyszeć, co się tam mówi. Przy tej dziurze, na ławeczce, siedzieli teraz goście dziadowskiego króla. Czekali dość długo, zanim usłyszeli szybkie kroki na schodach. Rozwarły się drzwi izdebki i wszedł, okryty płaszczem, oczekiwany doktór.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Zagadka.

I.

Pierwsza na wiosnę wśród bałwanów pędzi,
Co tylko spotka, niczego nie szczędzi,
A *druga z trzecią* to cech pospolity,
Jednak popłaca, kto w nim pracowity.
Całe to osobistość w całym świecie znana,
Osobliwie zaś w Polsce przez wszystkich lubiana.

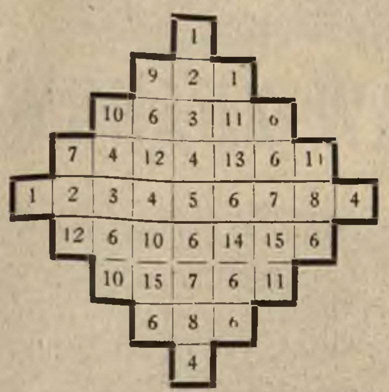
II.

Pierwsze i *trzecie* w ogrodzie widzimy,
Z tem się jednak ostrożnie zawsze obchodzimy,
Drugiem, trzeciem ptaszek chwałę okazuje
Bogu, gdy wesoło pod niebo wzlatuje;
Całego doznają jak w wieśniaczych chatach,
Tak też po zamkach, dworach i pałacach;
Nie sprzeciwiajmy się więc przeznaczeniu
I znośmy wszystko w pokornem milczeniu.

Arytmogryf.

(Ułożyła p. H. Leligdowicz z Fragi).

Liczby zastąpione literami dadzą wyrazy, ktorych środkowe litery, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzą tytuł jednej z powieści A. Gruszeckiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Część trójkąta. 3. Wyspa na morzu Śródziemnem. 4. Inaczej zdrajca. 5. ? 6. Kraj w Afryce południowej. 7. Generał wojsk napoleońskich. 8. Imię jednego z bohaterów »Pana Wołodyjowskiego«. 9. Samogłoska.

Arytmogryf.

Ułożył S. Spunda ze Skały.

W miejsce cyfr wstawić litery w ten sposób, aby litery środkowe, czytane w pionowym i poziomym kierunku, utworzyły imię i nazwisko malarza polskiego.

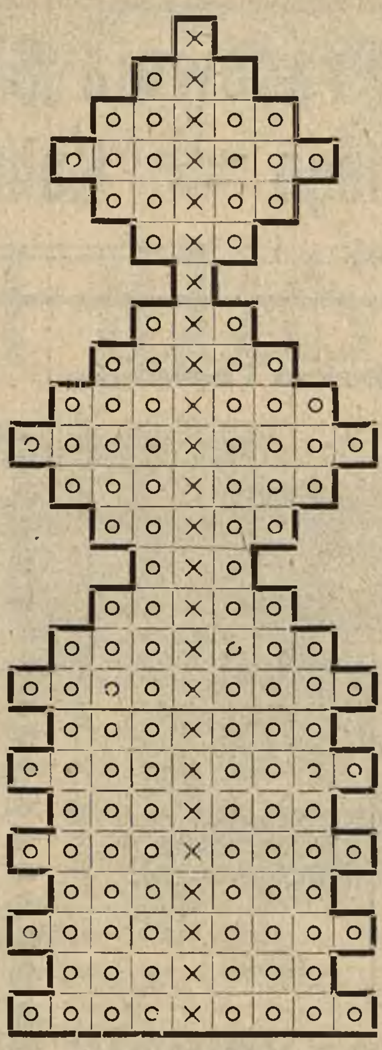


Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska 2. Drzewo. 3. Pospolite imię męskie. 4. Sędzia polubowny. 5 Przeciwnik oświaty. 6. Tytuł dramatu Słowackiego. 7. ? 8. Imię i nazwisko jenerała polskiego. 9. Inaczej Bromberg. 10. Wyspa na morzu Śródziemnym. 11. Imię żeńskie, zdrobniałe. 12. Roślina. 13. Spółgłoska.

Logogryf.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

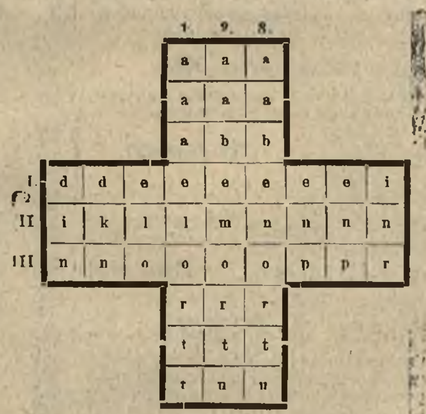
Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, by litery środkowe, czytane w pionowym kierunku z góry na dół, dały imię i nazwisko poety polskiego, oraz tytuł jednego z utworów tegoż.



Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Liczebnik. 3. Miasto w Czechach. 4. Miejsce. gdzie pieniądze biją. 5. Komedya Bałuckiego. 6. Owad. 7. Spółgłoska. 8. Władca wielkiego państwa. 9. Zamek królów polskich. 10. Przyrząd, niezbędny na okrętach. 11. Inaczej uczucie. 12. Wyspa na morzu Śródziemnem. 13. Minerał. 14. Rzeka w Afryce. 15. Rzeka w Austryi. 16. Autor »Królewskiej Pieśni«. 17. Roślina — inaczej dzika róża 18. Miasto we wschodniej Galicyi. 19. Nazwisko poety polskiego. 20. Inaczej rozbójnik morski. 21. Gatunek paproci. 22. Miasto graniczne w Galicyi. 23. Port nad Wisłą w Kujawach. 24. Jarzyna. 25. Rzeka w m. Azyi.

Arytmogryf.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.



Litery w tej figurze poprzestawiać — aby w rzędach pionowych 1, 2, 3 i poziomych I. II, III. utworzyły jednakie słowa o następującem znaczeniu: rząd 1—I. syn Prometeusza. Rząd 2—II. rodzina cesarska w Europie. Rząd 3—III. nazwa zgromadzenia prawodawczego.

Za rozwiazanie powyższych zagadek przeznaczamy ostatni utwór śp. Stanisława Wyspiańskiego, pt. »Sędziowie«.

Rozwiązanie zagadek z Nru 2.

Logogryf.

Bolesław Smiały, Legenda, Piast.

Zagadka zgłoskowa.

Bolesław Prus — Emancypantki.

Dobre rozwiazania nadesłali Pp: S. Iwanicki Lwów, J. Biegoń Sucha, J. Badura Rożdzień, Z. Furko Kraków, F. Kalita Gawłuszowice, W. Gasperski Skierniewice. W. Samborski Kraków, dr. Jastrzębski Wojniłów, Kasyno Niżniów E. Zału'ińska Olszanica, F. Niepokój Krosno, S. Heintze Oświęcim, H. Domosławski Lwów, A. Bocsoń Bóbrka, T. Bicz Sufczyna, Stow. ku wspieraniu położnic Tarnów J Gomulińska Bóbrka, M. Surowiecka Mor. Ostrawa, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Kuzia Wadowice, A. Pisowicz Dulczówka, J. Rottermund Szaflary, S. Neubauerówna Krzywe, F. Jamiszzk Wadowice, Z. Gandnik Stary Sącz. Z. Karasińska Wadowice. J. Dickmanowa Pilzno, Czytelnia Polska Bircza, J. Garbień Stryj, E. Wieczorkowa Kraków, A. Rotter Stanisławów, W. Łopaciński Lwów, K. Fuchs Czeremchów, M. Treppel Nowa wieś, M. Arbesbauer Lwów, W. Limanowska Kraków, B. Ramułtowa Jeżów, J. Wilczek Krzyżtopory, F. Kośmider Nowy Sącz, L. Złochowski Zaleszczyki, J. Kottas Kraków, H. Harman Czortków, W. Zdanowicz Gorlice. T. Hubl Tarnawa, J. Janiczak Łętownia, S. Kiersnowski Kopyś, A. Kulwiec Kraków, M Rożański Libusza, W. Spirydowicz Stara Sól, Z. Grabińska Kocierzów, Czytelnia ludowa Morawica.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Z. Karasińska Wadowice.

Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Głosy publiczne

Materyały i krój angielski

Pierwszorzędna Pracownia Sukien Męskich
Leona Grabowskiego właściciel firmy: Gabryel Grabowski

w Krakowie, ulica Szpitalna L. 36. Telefon Nr. 561.

Wykończenie artystyczne.

Ból zębów

głowy, krzyżów, darcie w członkach usuwa nam zawsze fluid Fellera z marką „Elsa-Fluid“. Próbny tuzin 5 K franko. Sprowadzać od E. V. Fellera w Stubicy, Elsaplatz Nr. 127 (Kroatien).

Fryc

Bogumił Pirkel

optyk i mechanik

Lwów Akademicka 6.

Dostawca dla c. k. kliniki okulistycznej

: poleca po najtańszych cenach :

wszelkie wyroby optyczne.

Wykonuje reperacye szybko i dokładnie

Cenniki illustr. na żądanie darmo i opłatnie

Największy WYBÓR LALEK na Galicyę!



Fabryka Lalek, KRAKÓW, ul. Wolska 1/a

Specyalność: Lalki z prawdziwemi włosami, blaszanemi głowami (skórzane) i w krakowskich strojach. — Buciki, pończoszki, kapelusiki, parasolki, zegarki, mebelki i t. p. na składzie.

Kraków Sławkowska L. 3 — Kraków Hotel Saski



Telefon 51 — Telefon 518

ZDZISŁAW ZDANOWICZ



Magazyn galanteryjny

Skład Bielizny, Kapeluszy,

Obuwia amerykańskiego

i przyborów do podróży.



Cenniki illustrowane na żądanie darmo i opłatnie

Szkodliwość nikotyny usunięta!

Zastosowanie wiedzy w życiu praktycznem wydało już niejednokrotnie zdumiewające rezultaty, przyniosło wiele pożytku ogółowi. Dziś hygiena święci prawie na każdym kroku tryumfy, zrozumiałem więc jest, że i fabrykacya **tutek cygaretowych** czyni postępy w tym kierunku, lecz nie wszędzie i nie zawsze z dodatnim rezultatem.

Moje wieloletnie próby, upodstawnione nauką i fachowem doświadczeniem, uwieńczone zostały ostatnimi czasy zdumiewającym skutkiem. Udało mi się bowiem dojść drogą badań do preparatu, znanego już dziś prawie wszędzie pod nazwą:

„SALVESOL“

Jest to **wata chemiczna,** mająca tak wielce pożądaną dla palących papierosy własność, że, by mnie nie posądzono o czczą przechwałkę — odsyłam Szan. Czytelnika do poniżej umieszczonego **uznania,** jakiem raczył mnie zaszczycić Wny Prof. Dr **A. Mars:**

Z przyjemością donoszę WPanu, że od czasu, jak używam Pańskiej waty **„Salvesol“** w cygarniczkach szklanych nie doznaję przykrych objawów, które mi dokuczały skutkiem palenia tytoniu. Wobec tego upraszam o nadesłanie mi za pobraniem pocztowem itd.

Lwów, 2 maja 1903. Z wysokiem poważaniem *Prof. Dr. Antoni Mars.*

(4)

Zakład przemysłowy wyrob. papier. „Noris“

Mr. W. BEŁDOWSKI, KRAKÓW, 3

BAZAR KRAKOWSKI
Z OBUWIEM



w Krakowie, przy ul. Szewskiej 2

(tuż przy Rynku)

Na składzie znajdują się wyroby najlepszej jakości, jako to: buciki męskie, damskie, dzie inne najnowszych fasonów, jak również obuwie amerykańskie Boks-Calbs, Chevreau. — Przyjmuję także obstalunki miejscowe, z prowincyi za nadesłaniem starego bucika, wykonując takowe punktualnie ściśle podług miary.

Ceny przystępne.

Nadmieniam, iż prowadząc interes kilkanaście lat, starałem się zyskać względy Szan. Klienteli, a zatem polecam się nadal łaskawej pamięci

43—43 Zostaję z poważaniem *Feliks Łodziński.*



Pracownia i magazyn Obuwia

damskiego i męskiego **tylko własnego** wyrobu!

Jan Szuller, Lwów, ul. Sykstuska L. 29

poleca obuwie gotowe jak również na zamówienia wykonane starannie i szybko wedle najnowszych fasonów i jest w możności najwybredniejszym wymaganiom zadość uczynić. — Z prowincyi zużyty bucik na miarę

(18—52) (1—17)

Nie trzeba!

z Tryestu sprowadzać!

Znany w kraju główny i wyłączny skład herbaty i kawy pod firmą

Adolfa Singera

we Lwowie, Sykstuska L. 1.

poleca spróbować

KAWY

Santos dobra	55	ct. za pół kg
Portorico prima	65	„ „ „ „
Ceylon wyśm.	75	„ „ „ „
„ plantac.	90	„ „ „ „
„ perłówka	90	„ „ „ „
Mecca arabska	80	„ „ „ „

HERBATY

Congo dobra	1·40	ct. pół kg
Moning familijna	1·60	„ „ „
Kaysow dobor.	1·80	„ „ „
Souchong wyśm.	2·—	„ „ „
„ najlep.	2·50	„ „ „
Kintuk arom.	3·—	„ „ „

Wysyłki 2 kg. kawy i 1 kg herbaty razem za pobraniem franco. Kupcom rabat.

37—52 (1907) 1—4 (1908)

Kobiety!

Zatrzymanie menstruacyi leczy **P. Ziervas w Kalk** (koło Köln) Nr. 354. Pani G. w M. pisze: **„Pański środek szybko pomógł“.** Marka na odpowiedź pożądana.

---

200 Rubli miesięcznego dochodu, może każdy osiągnąć. Oferty dla „K R. 200“ nadsyłać do Biura Ogłoszeń UNGRA, Warszawa, ulica Wierzbowa 8

---

50 koron tygodn. i więcej łatwo można zarobić. Łask we zgłoszenia pod **H. B. 1490** za pośrednictwem RUDOLF MOSSE w PRADZE.

Fotograficzny Akt-Studya! Wspaniałe wykonanie! Śliczne modele wszystkich krajów na próbę 1 fotografia gabinetowa i 150 miniatur za 1 K (w znaczkach pocztowych). Piękny wybór 5—10 K

O. SCHLADITZ & Ska, Berlin W. 57 Kc

Tinktura Ferri manganati aromatica z marką dosłowną

FERROMANGANIN



Znamienity środek odżywczy i wzmacniający!

polecany przez powagi lekarskie w wypadkach:

osłabienia, błednicy, niedokrwistości, chlorozy, cierpień nerwowych.

Wytwarzający krew. **Wzbudzający apetyt.**

Dr Lammers, prakt. lekarz w Cöln nad R. pisze: „Ja używam nadzwyczaj wiele Ferromanganinu. Niema dnia nawet, bym go kilkakrotnie nie zalecał. Gdzie żelazo w ogóle przy anemii (błednicy) i chlorozie skutkuje, tam Ferromanganin jest niezbędny. W kilku dniach poprawia się apetyt — znamienita zaleta. Waga ciała i ogólny stan zdrowia polepsza się z każdą chwilą“.

Dr Schiffmacher w Rohr, Dolna Bawarya. pisze: „Ferromanganin oddawał mi najlepsze usługi. Szczególnie w osłabiających chorobach w rekonwalescencyi konstatowałem nader zadowalające jego skutki. Dla Pań anemicznych jest środkiem wzmacniającym, jakiego rzadko gdzie znaleźć mogłem“.



FERROMANGANIN jest bardzo przyjemny w użyciu i używany bywa chętnie tak przez młodych jak i przez starszych.

Cena jednej flaszki K 3·50. Główne składy **w Wiedniu:** Apteka pod Królem węgierskim, Fleischmarkt; C. k. Apteka nadworna; Apteka pod Łabędziem, Schottenring 14; Apteka Schobera, Loewengasse 24; Apteka pod złotym Krzyżem, Mariahilf; Apteka pod Matyldą, Mathildenplatz 3. **W Budapeszcie:** Aptekarz Józef v. Török, Kiraly-utcza 12. **W Bernie:** Apteka pod Rakiem. **W Pradze:** Apteka Fanty. **W Komotau:** Apteka pod Orłem i inne apteki. **W Krakowie:** Apteka pod Złotym Słoniem; Apteka pod Tygrysem; Apteka pod Lwem. **We Lwowie:** Apteka pod Opatrznością Boską, ulica Karola Ludwika; Apteka pod Złotym Lwem; Apteka pod Złotą Gwiazdą, ul. Kopernika. **W Przemyślu:** Okręgowa Apteka pod Orłem, ul. Pańska; Apteka pod Nadzieją, Rynek główny 54. **W Stanisławowie:** Apteka pod Opatrznością Boską. **W Tarnopolu:** Apteka pod złotym Orłem, Rynek główny.